ROK II
NUMER 1-2
STYCZEŃ-LUTY
1947

DZIECI I WYCHOWAWCA

MIESIĘCZNIK

Nr 1-2 STYCZEŃ - LUTY 1947

DZIECI I WYCHOWAWCA

MIESIĘCZNIK

WYCHOWAWCA, DZIECKO I — ŚWIAT SZERSZY

„Eros pedagogiczny", nieodłączny od stosunku wychowawczego, przesłania często całość życia. W skrócie można by powiedzieć, że sprowadza wszystkie zainteresowania do stosunku „ja i Ty", choćby „Ty" oznaczało grupę. „Ja" — wychowawca, Ciebie, czy Was kocham, gdyż jesteście ze mną, w zasięgu mojego życia i moich obowiązków. W najmocniejszym stosunku do jednostki oznacza to jeszcze więcej: gdyż to jesteś Ty, to jesteście Wy.

Ślepą nazywano nieraz miłość matczyną, z powodu nieumiejętności oceny swego dziecka, więc także nieumiejętności rozumnej pomocy jego rozwojowi. Ślepą bywa i miłość wychowawców. Różne bywają źródła takiej ślepej miłości. Często występuje potrzeba skompensowania braków własnego, życia, zapełnienia jego pustki, ogrzania i rozświetlenia. Czasem zjawia się pragnienie ucieczki ze złego świata, odgrodzenia się od jego okrucieństw. Głównym motywem bywa podświadome dążenie do wykazania swej niezbędności, swej niezastąpionej wartości.

„Eros pedagogiczny" jest nieodzownym natchnieniem wychowawcy, nie powinien jednak zaćmiewać rozeznania siebie, wychowanka i świata. Nie dla nas wychowujemy dzieci nawet wówczas, gdy brak rodziny potęguje nasze obowiązki. Musimy je wyposażyć do pójścia w świat i ułatwić od maleńkości wrastanie w glebę społeczną. Im są bardziej osamotnione — tym staranniej trzeba je usamodzielniać. Wynika stąd obowiązek oświecenia miłości opiekuńczej poznawaniem świata, siebie i wychowanka.

Świat... Trzeba dojrzeć w nim nie tylko to co najjaskrawsze, przed czym chcę chronić dziecko. Trzeba rozpoznać wartości istotne i siły twórcze. Trzeba je umieć ukazać i z nimi związać. Dziecięcy i młodzieńczy rachunek sumienia powinien przede wszystkim obejmować sprawy zaniedbań w odszuki-

waniu i spożytkowaniu dobra. Czy umiem odnaleźć dobre przykłady i wzory, stosować się do nich. Czy znam piękne książki i piękne pieśni i czy z nich korzystam. Czy rozumiem prawidła pięknych zabaw i czy je stosuję. Czy wiem jak trafić do instytucji oświaty, pomocy, rozrywki? Obowiązkiem wychowawcy jest ułatwić odnajdywanie odpowiedzi, lecz bez hamowania samodzielności. Ileż nieszczęść wynikło stąd, że wychowankowie szkoły lub zakładu nie wiedzieli dokąd się zwrócić po wyjściu w świat, że się czuli gorzej niż trzciny na wietrze, gdyż — w nic trwałego nie zapuścili korzeni.

Pomoc udzielona wrastaniu wymaga pracy nie tylko z wychowankiem, lecz również ze sobą. Ja muszę znaleźć wartości i siły, ja mam własną postawą wcielać je w życie, pokazać jak się wybiera i stosuje dobro nie tylko w naszym domu, lecz również w stosunkach z szerszym światem. Ja muszę nawiązywać takie znajomości, które mi pozwolą wprowadzać wychowanków do zaprzyjaźnionych domów, do warsztatów, do ognisk kultury. Nie mogę z siebie dawać tego, co dzieci lepiej i właściwiej zdobędą poza mną. Muszę umieć ograniczyć swą niezbędność, natomiast wiązać się z tym, co w stosunku z wychowankami będzie dla nas wspólne, gdyż nas przerasta.

Helena Radlińska.

RÓŻE

Sadźmy, przyjacielu, róże!
Długo jeszcze, długo światu
Szumieć będą śnieżne burze,
Sadźmy je przyszłemu latu.

My, odbici z niw rodzinnych
Może ich nie ujrzym kwiatu:
A więc sadźmy je dla innych,
Szczęśliwszemu sadźmy światu.

Jakże los nasz piękny, wzniosły!
Gdzie idziemy — same głogi;
Gdzieśmy przeszli — róże wzrosły
Więc nie schodźmy z naszej drogi!

Idźmy, szczepmy! Gdy to znuży,
Świat wiecznego wypocznienia
Da nam milszy kwiat od róży:
Łzy wdzięczności i wspomnienia.

Seweryn Goszczyński.

PERSONEL W DOMU DZIECIĘCYM

(Z dorobku zespołu pracowników Domu dziecięcego „Anusia" r. 1941—1945).

Cztery wojenne lata w Domu dziecięcym „Anusia" pozwoliły nam poznać, blaski i cienie pracy w zakładzie wychowawczym. Wojenny zakład R.G.O. — dziesięciopokojowa miła willa w Konstancinie. Bardzo ciężkie warunki materialne. Czterdzieścioro pięcioro małych dzieci 3—8-letnich. Trzy wychowawczynie: młodziutka przedszkolanka, „spalona" harcerka po szkole handlowej i jedna matka, dalej pielęgniarka, intendentka, kierowniczka - nauczycielka, sprzątaczka, dwie matki jako obsługa kuchni i pralni. Dziewięć osób — w tym trzy z kwalifikacjami, reszta wychowawczynie z zamiłowania.

Dość szybko całym przygodnie zebranym zespołem, dojrzałyśmy istotną dla Domu sprawę naszego własnego życia, jego atmosfery i organizacji.

Co dzień to samo. Większość dnia w gwarze dziecięcym. Stale wśród tego samego otoczenia. Prawie zawsze na zawołanie „swoich dzieci". Strzępek życia towarzyskiego i rodzinnego zaledwie dawał się zmieścić.

Rytm życia Domu pochłaniał i przygłuszał życie osobiste każdej z nas. I wiedziałyśmy jakim nieznośnym dopustem była praca w takich warunkach dla tych, którzy ją podejmowali z musu. Sprawdzałyśmy też na sobie, ile daje twórczej radości, jeżeli wiąże się z zamiłowaniem.

Nasz zespół wnosił w pracę zamiłowania wychowawcze i dobrą wolę stworzenia dzieciom „Anusi" jasnego dzieciństwa.

W krótkim jednak czasie napotkałyśmy w naszych poczynaniach na groźnego wroga. Było nim zmęczenie związane ze specjalnym trybem życia i tokiem zajęć.

Ta „choroba zawodowa" niszczy dobre samopoczucie wychowawcy, które jest koniecznym warunkiem powodzenia w jego pracy.

Szukałyśmy więc przyczyny zła, próbowałyśmy środków zaradczych. Znalazłyśmy je w *atmosferze* i *organizacji* życia całego naszego zespołu.

Organizacja pracy

„P r z y d z i a ł y". „Jeżeli wiem wyraźnie, co do mnie należy, za co ponoszę odpowiedzialność, mogę sobie rozłożyć robotę, jak mi odpowiada najlepiej. Mam wtedy poczucie swobody i samodzielności na powierzonym mi odcinku. Świadomie odpowiadam za wynik mojej pracy". (Wypowiedź z ankiety dla pracowników na temat przydziałów pracy.)

Określony przydział pracy — to ważne. A obok tego: Rozkład pracy w czasie — równowaga w ciągu dnia zajęć bardzo nużących (zajęcia świetlicowe z małymi dziećmi, gry gromadne) i mniej wymagających wysiłku (dyżur w czasie ciszy poobiedniej itp.).

Choćby dwie dziennie, ale zupełnie wolne godziny, na które można zawsze liczyć *).

I „wolny dzień". Niech będzie raz na dwa tygodnie, jeżeli nie można inaczej*), ale pewny, z góry ustalony, prawnie przysługujący.

Wspólne ustalenie planu nadchodzącego tygodnia tak, aby każdy wykorzystać mógł bez szkody dla dzieci przypadający mu „dzień wolny", możliwie harmonijne rozłożenie ciężaru pracy dziennej z uwzględnieniem koniecznych zastępstw — nie były to rzeczy łatwe.

Jednak rezultat wysiłku: co tydzień wywieszony rozkład zajęć — stał się gwarancją ładu i spokoju w naszej pracy.

„Kąt dla siebie"

„Masz wolny czas — i nie wiesz co z nim zrobić. Łóżko w sypialni to jedyne „twoje" miejsce. A tu trzeba napisać list, poczytać książkę, poreperować własne ubranie..."

Starałyśmy się mieć „kąt dla siebie" (choć trochę izolowane miejsce w sypialni z szafką przy łóżku i półką na książki i drobiazgi) i „kąt wspólny" gdzie można poczytać spokojnie, czy porozmawiać. Mogła to być kuchnia, z której nie korzystano, czy odgrodzona szafami część magazynu — za to nie mogło tu brakować kawałka kilimka i zieleni w prostym dzbanku. Jedna z nas dbała o to stale.

„Z e s p ó ł". Może właśnie w tym „pokoju pań" podczas wspólnie spędzonych wieczorów, odkryłyśmy jak ważną rzeczą w domu dziecięcym jest zgranie zespołu. Jest się stale

---

*) Stanowczo za mało (Redakcja).

razem. To, co robi każda z nas, zazębia się o pracę innych, niedociągnięcia jednego członka zespołu dotykają wszystkich. Wzajemny stosunek, stopień wyrozumiałości, gotowość bezinteresownego współdziałania decydują o ogólnej atmosferze.

Dlatego też świadomie pielęgnowałyśmy życie towarzyskie i kulturalne naszego zespołu. Wieczór ze wspólnym czytaniem, wewnętrzne „Andrzejki", trochę muzyki, czasem po prostu skromne imieninowe święto jednej z nas — zbliżały zespół.

Odbijało się to pozytywnie w pracy: łatwiej było uzgodnić zastępstwa, dopełniać się wzajemnie. Opuszczenie się w pracy którejś z nas stawało się troską zespołu. I nieraz pomoc współtowarzyszek pozwalała przezwyciężyć okres złego samopoczucia czy zniechęcenia.

Bliska serdeczna atmosfera stwarzała konieczne miejsce dla życia osobistego.

Były między nami matki mające w gromadzie dziecięcej własne dzieci.

Problem wcale niełatwy.

Rozwiązałyśmy go uznając prawo matki i dziecka do wzajemnego intymnego obcowania. W czasie wolnego dnia mogły nasze matki zabrać dziecko z dowolnych zajęć. Od czasu do czasu wyłączyć swoje i parę najbliższych im towarzyszy ze zbiorowego spaceru i zabrać na indywidualną przechadzkę. Wieczorne dobranoc już w łóżeczku szybko objęło obok własnego dziecka, parę innych, najbardziej czułych, z czasem całą gromadkę.

Uszanowałyśmy prawo matki. Równocześnie jednak ustalone zostały warunki gwarantujące, że nie stanie się to „przywilejem" wyróżniającym dziecko w sposób niewychowawczy z gromady. „Nie wolno dawać słodyczy, wyróżniać lepszym ubraniem, naruszać zarządzenia wychowawczyni".

W ustalonym układzie nasze matki potrafiły zachować w pełni postawę lojalnych wychowawczyń. Dotyczyło to zarówno pracowników umysłowych jak i fizycznych.

Atmosfera bowiem zespołu w Domu Dziecięcym działa zaraźliwie, ogarnia wszystkich.

Swoją rolę wychowawczą ma tu przecież sprzątająca, z której pracy dzieci korzystają i krawcowa, do której biegną z rozerwanym fartuszkiem lub z prośbą o kolorowe ścinki, czy wreszcie gotująca „niedzielny" obiad kucharka.

Cały zespół pracowniczy stanowi pełny komplet „narzędzi" wychowawczych.

I tak w realizacji programu okresu wielkanocnego przedszkola brała czynny udział obsługa kuchni, której dzieci „pomagały“ w świątecznym pieczeniu.

Podobnie „historię chleba“, jesienny cykl „zapasy zimowe“ urządzono z udziałem obsługi gospodarczej.

Sprzątająca nazwana przez wszystkie dzieci „mamą Szulecką“, brała stały udział w ocenie dyżurów porządkowych. Nic nie działo się w Domu, w czym nie bralibyśmy wszyscy razem udziału.

Świadomie też wciągałyśmy nasze pomocnice w zagadnienia życia dzieci. Często na łatwiejsze zebrania wychowawcze. Czasem do udziału w przedstawieniu czy obchodzie. W rezultacie uzyskiwałyśmy ciepły, wyrozumiały stosunek do dzieci i współdziałanie w pracy wychowawczej i trosce o byt placówki wykraczające daleko poza ramy formalnych obowiązków. W ciężkich chwilach, kiedy przynoszenie mleka dla dzieci ze wsi pod obstrzałem groziło życiu, nie zlecenie (bo tego nikt nie ryzykował wydać), ale ten stosunek „jak do własnego“ pchał nasze pracownice fizyczne na drogę dobrowolnej, ofiarnej służby.

Zakład wychowawczy miał atmosferę domu. I dlatego prosto i naturalnie mógł przyjąć gościa każdej z nas. Ustaliło się niepisane prawo gościnności, realizowane przede wszystkim przez zastąpienie w pracy tego do kogo gość przyjechał. Temu zwyczajowi odpowiadał z drugiej strony obowiązek nie nadużywania sytuacji.

I n t e r e s u j ą c a p r a c a. Dobre współżycie zespołu to atmosfera ciepła i pogody w Domu. W zespole pracowników musi odbywać się też praca nad tym, aby monotonny tok zajęć nie stał się wcieleniem nudy. Świeżość wychowawcy to wielki atut. I często urozmaicony wysiłek mniej jest w rezultacie nużący niż martwa łatwizna bierności. Dlatego też starałyśmy się, aby wspólnie budowany plan wychowawczy był interesujący nie tylko dla dzieci ale i dla nas. I więcej może niż tygodniowe programowe zebrania dawało nam nigdy niekończące się obgadywanie, co i jak udało się w każdej gromadce (grupa wychowawcza). Świadomie też pielęgnowałyśmy szersze zainteresowania. Zebrania samokształceniowe z tematami daleko wybiegającymi poza teren pracy, dyskusje z zaproszonymi „ciekawymi ludźmi“, omawianie z fachowcami eksperymentów wychowawczych — wszystko to urozmaicało pracę, pobudzało ambicje: każdej za swój odcinek, wszystkich

za całość Domu, było często źródłem energii. Świąteczne przybranie lokalu, obchód, przedstawienie, dzień gości, wizytacje— musiały być „na poziomie“.

Te właśnie momenty, ku którym celował wzmożony wysiłek, stanowiły często równą atrakcję dla nas jak i dla naszych dzieci. Trudno uwierzyć, że po dniu pracy można przesiedzieć całą noc sobotnią dobierając fartuszki i sukienki niedzielne najbardziej pasujące do siebie, że wycieczka całodzienna z pięćdziesiątką 4—8-letnich dzieci z kotłem i zapasem ubrań może być przyjemnością także dla dorosłych, że odprężeniem może być wystawienie komediowego obrazka scenicznego dla dzieci, którego przygotowanie urywało skąpe i tak godziny snu.

Trudno uwierzyć — a jednak tak było.

K i e r o w a n i e. W toku czteroletniej pracy doszłyśmy do przekonania, że kierować Domem Dziecięcym to przede wszystkim organizować życie i wydobywać twórcze możliwości zespołu pracowników. Rzucić wytyczne planu wychowawczego, zrobić go wspólnym dorobkiem zespołu, stać na straży wykonania.

Dobry kierownik musi być „duszą“ swego zespołu, najlepszym, najmocniejszym towarzyszem pracy dla wszystkich.

Kierować Domem to widzieć go nie tylko dziś, ale jutro, pojutrze w jego rozwoju i postępie. Nieraz trzeba powstrzymać się od doraźnej uwagi, zebrać niedociągnięcia i postawić sprawę jako zadanie do rozwiązania. Wtedy dopiero zło dostrzeżone, niszczy się raz na zawsze, tak jak chorobę u samego jej źródła.

Kierowanie musi być zawsze stawianiem przed oczy współpracowników słusznej, wspólnej sprawy. Wtedy tylko wyrzucony zostaje poza ściany Domu wszelki fałsz „formalnej hierarchii służbowej“ nieznośny w codziennym obcowaniu.

I to jest możliwe.

* *
*

Doświadczenia jednego Domu Dziecięcego pozwalają na postawienie sprawy personelu w skali każdego poszczególnego zakładu. Ujęta ogólnie sprawa, to zagadnienie kadr fachowych, problem życia rodzinnego pracowników Domów Dziecięcych, ich pozycji materialnej i społecznej, koniecznych warunków pracy.

Rozwiązywanie tych zagadnień przez Państwo uprości i ułatwi z pewnością dobór ludzi poszczególnym zakładom. Przed każdym jednak Domem wychowawczym stanie zawsze sprawa wspólnego oblicza zespołu w warunkach, gdzie życie osobiste i praca musi się splatać w nierozerwalną całość.

Wiktoria Dewitz.

Artykuł dyskusyjny

GŁOS WYCHOWAWCY W SPRAWACH PRACOWNIKÓW DOMÓW DZIECKA

Dużo się ostatnio mówi i pisze o dziecku na ogół, a już zupełnie modne stają się „Domy Dziecka".

Czy to ma być opieka, polegająca na zaopatrzeniu dziecka w mieszkanie, wyżywienie i dozór? Czy też coś więcej ma ten dom dziecku dać? Są domy prywatne, rodzinne — też najrozmaitsze. W jednym jest czuła, troskliwa opieka fizyczna i moralna — w innych atmosfera zimna, obojętna. Dziecko obija się o dorosłych, ociera się tylko. Najczęściej denerwuje otoczenie dorosłych, niecierpliwi i przeszkadza.

Różne znałam i znam „Domy Dziecka" tzw. zakłady wychowawcze.

Widziałam większe i mniejsze na 20, 30, 40 dzieci i na 100 do 500. Widziałam lepsze i gorsze pod względem opieki i wychowania. O wartości Domu decyduje głównie podejście, zakres i cele pracy wychowawczej.

Dążyć należałoby przede wszystkim do zatarcia „piętna" dziecka zakładowego, a to da się osiągnąć przez bliski, ciepły serdeczny kontakt wycowawcy, przez zbliżenie do życia w rodzinie. Ostatnio pokutuje też modny pogląd: tworzenia dużych zakładów, dziecińców, miasteczek dziecięcych.

Jakiejże to trzeba biegłości i umiejętności organizacyjnej, by osiągnąć główny w tym wypadku cel wychowania społecznego! Jakże tu łatwo trafić na manowce, stworzyć zamiast radosnych „Domów Dziecięcych" — ponure, szare koszary lub obozy dla małoletnich!

Życie społeczne zarówno w najmniejszych, jak i największych zakładach da się łatwo zorganizować. Znów zależeć to będzie w głównej mierze od pracownika, jego umiejętności, podejścia, dobrej woli i wysiłku.

Na ogół w „Domach Dziecka" losy dziecka zależą przede wszystkim od ludzi, którzy nim bezpośrednio kierują, najwięcej

się z nim stykają, a więc od wychowawców. O tych pracowników warto by się upomnieć i należało by nareszcie zwrócić uwagę władz, kierujących „Domami Dziecka“ na ważność zagadnienia wychowawcy.

I tutaj pokutują dwa poglądy:

1. Wychowawca — to świecki zakon, wychowawca — to zawód ofiarny, wymagający poświęcenia, całkowitego zamknięcia się, odejścia od życia, rezygnacji z życia osobistego, by mógł oddać się wyłącznie dziecku.

2. I pogląd drugi nowszy, jeszcze mglisto przedstawiający się: wychowawca nie może być przeciążony, gdyż wpływa to ujemnie na pracę, wychowawca raczej powinien mieć życie osobiste — znów dla dobra pracy.

Który z tych dwóch poglądów byłby słuszniejszy? I jak należało by dążyć do możliwie szybkiego zrealizowania tego słusznego poglądu?

W pierwszym wypadku wydaje mi się tkwi coś nie zdrowego, coś odbiegającego od rzeczywistości życiowej. Toteż na ten typ wychowawców składa się przeważnie grupa wykolejeńców życiowych. (Jakiś zawód miłosny, samotność, „zaczepienie się“ o jakąś pracę tymczasowo z braku innych możliwości, innych kwalifikacji, niedołęstwo życiowe, z tych czy innych przesłanek ucieczka od życia). I dziecko-sierota, które już z tytułu swego sieroctwa jest obarczone najrozmaitszymi urazami psychicznymi ma być „urabiane“ przez wspomnianych wykolejeńców życiowych. Wiadomo, że kierunek tego typu ludzi tylko pomnoży i pogłębi urazy psychiczne.

Ten typ wychowawców na pozór potrafi się zamknąć, pracować, jak to się zwykło mówić, jak „dziki osioł“ bez przerwy od rana do wieczora. Jakże go jednak ta praca prędko znuży, zmęczy, pozbawi zdrowia i sił fizycznych, uczyni niezdatnym nawet do takich kulejących wysiłków, — krótko mówiąc „wykończy“.

Jakże prędko przestanie być aktywnym, czynnym wychowawcą, a stanie się gderliwym dozorcą, który uważać siebie będzie za pokutnika. Albo też nie zdając sobie nawet sprawy ręce opuszcza, przestaje pracować, a tylko „tkwi“ jeszcze między dziećmi, kręci się między nimi, nie zadając sobie żadnego wysiłku, na który go już najczęściej nie stać.

Jakże dziecko przy najlepszych nawet warunkach wyżywienia i lokalowych ma się czuć przy takim wychowawcy „szczę-

śliwe“? Dziecko dla tego typu wychowawcy jest obiektem, który zatruwa mu życie. Wszelkie niepowodzenia życiowe, rozgoryczenie i przemęczenie bodaj samym gwarem dziecięcym i dreptaniem — przenosi dorosły w tym wypadku na dziecko, „wyładowuje się“ na nim.

Drugi typ wychowawcy byłby to (byłby — bo jeszcze na razie nia ma, lub bardzo rzadko się zdarza) wychowawca, mający życie osobiste, przebywający w zakładzie określoną ilość godzin, wolny od zajęć jeden dzień tygodniowo. Ten typ wychowawcy byłby dużo zdrowszy, praca jego byłaby dużo korzystniejsza i wydajniejsza. Taki wychowawca konserwowałby się lepiej fizycznie i duchowo, praca jego liczyłaby się na dłuższy okres czasu.

A jakie to ważne, żeby dziecko, szczególnie w „Domu Dziecka“, nie przechodziło z rąk do rąk, jak to niestety przedstawia się do tej pory.

Pierwszy typ wychowawcy szuka sobie najczęściej możliwości ucieczki od męczących warunków życia. Znam dobrych, wartościowych wychowawców, którzy po pewnym czasie zamieniali się w chaotycznych, złośliwych, zgryźliwych pracowników, których praca była raczej szkodliwa. Kogo tu winić? Li tylko warunki.

Nie należy tworzyć szablonów!

Rozkład godzin pracy zależeć będzie od ilości wychowawców, przydzielonych na dany zakład. A ilość wychowawców musi być taka, jakiej wymaga zakład, a więc liczba dzieci i specjalne warunki zakładowe (wieś, miasto, warunki techniczne: brak szkoły, światła, wody) no i poważne liczenie się z omówionymi zagadnieniami określonej liczby godzin pracy, co jest nieodzownym warunkiem tak bardzo ważnego problemu życia osobistego wychowawcy.

Przy omówieniu zagadnienia drugiego typu wychowawców też nie należy popadać w krańcowość, w „odrabiaczy“. Odrobił swoje i poszedł. Liczymy na ludzi uczciwych, sumiennych.

Uczciwy stosunek do dziecka i pracy, odpowiedzialność za kierunek, serdeczny ciepły wysiłek wobec dziecka — to zasadnicze warunki w obu wypadkach z tą różnicą, że łatwiej zrealizuje je drugi typ, gdzie wychowawca ma możność zastanowienia się, poprawienia błędów, przygotowania planu pracy i wreszcie odpręże-

n i a tak ważnego dla ustroju nerwowego, a więc i dla dobrego samopoczucia, które jest głównym warunkiem pracy twórczej wychowawcy, a poprzez niego i wychowanka.

O. T.

DZIECI I WYCHOWAWCA

Niekiedy dziecko podczas burzy zachowuje zdumiewający stoicyzm.

— Ile razy ci powtarzałem, żeby na łóżkach nie skakać — piorunuję. — Łóżka nie są do zabawy. Do zabawy są piłki, łamigłówki...

— A co to są łamigłówki? — zapytuje ciekawie.

W odpowiedzi dałem mu po łapach...

*

Innym razem, po burzliwej rozmowie, byłem zapytany:

— Proszę pana, dlaczego jak się kto złości, to się robi czerwony?

Podczas gdy ja wysilałem głos i umysł, by go zwrócić na drogę cnoty, on śledził badawczo grę kolorów twarzy pod wpływem afektu. Pocałowałem go — był uroczy.

*

Chciałem raz wyjątkowo uroczyście zareagować na niewyjaśnioną kradzież. Wszedłem do sypialni chłopców, gdy już zasypiali, i uderzając w takt o poręcz łóżka, donośnym głosem mówiłem:

— Znów kradzież. To się musi skończyć. Szkoda pracy na wychowywanie złodziei...

Tęż samą, dość długą przemowę, powtórzyłem w sypialni dziewczynek.

Nazajutrz taką rozmowę prowadzili chłopcy z dziewczętami:

— I u was też krzyczał?

— A jakże.

— Mówił, że wszystkie wyrzuci?

— Mówił.

— I bił pięścią w łóżko?

— Bił z całej siły.

— A w czyje łóżko, bo u nas — w Maniusi.

Janusz Korczak.

(Z książki pt. „Jak kochać dziecko").

WSPÓŁŻYCIE WYCHOWAWCY Z WYCHOWANKAMI

Mimo wielu doświadczeń życiowych, różnorodnych przeżyć, a może nawet już siwiejących włosów, przyznajmy się szczerze, my — dorośli — że ogromnie nam trzeba serca, świadomości, że komuś jesteśmy potrzebni, — że z kimś możemy szczerze pogadać, wyżalić się, podzielić się radością, poradzić się, zwierzyć. I taka prawdziwa przyjaźń jest dla nas podtrzymaniem w okresach próby, radością, elementem budującym nasz pozytywny stosunek do życia.

A czymże dopiero dla dziecka jest ta świadomość, że jest kochane, że ktoś się interesuje jego troskami i szczęściem, że jest zawsze gotów go wysłuchać, że może mu podsunąć jaką dobrą myśl w trudnej sytuacji? Tragizm sieroctwa w znacznej mierze polega właśnie na tym braku zainteresowania kogokolwiek drobnymi, codziennymi radościami i smutkami małego brzdąca. W zakładzie, w przedszkolu, w szkole, w warsztacie malec, później chłopak i młodzieniec, — dostanie odpowiednią dla swego wieku ilość dzienną kalorii, dostanie odzież, łóżko, zeszyty, proszek *D.D.T.*, uzyska możność nauczenia się tabliczki mnożenia i towaroznawstwa, umiejętność obróbki metalu i palenia w piecach, dostanie „właściwe“ wychowanie i wykształcenie, będzie odrabiał lekcje przy „właściwym“ świetle, czytał „odpowiednie“ książki i — na tym koniec. Będzie jednym z tych, których społeczeństwo i państwo otacza opieką, jako przyszłość narodu. I mając „wszystko co potrzebne dla rozwoju fizycznego, umysłowego i społecznego“ — nie będzie miał nic dla zaspokojenia swego głodu uczucia, miłości. Będzie sam, zupełnie sam.

Nikt się nie zmartwi jego dwójką z rachunków i nikogo nie ucieszy jego niezdarna, ale pierwsza samodzielnie wykonana wyklejanka. Nikt go nie „utuli na dobranoc“ i nikt nie będzie słuchał jego opowiadania o przygodzie na zbiórce harcerskiej. Wychowawca upomni go, aby wyjął ręce z kieszeni mówiąc do starszych, każe mu zamieść korytarz, odrobić lekcję, lub iść grać w dwa ognie. I nie zastanowi się z powodu braku czasu, zmęczenia, przeciążenia pracą i — oschłości, że chłopak w tej chwili przeżywa silnie pierwszą porażkę lub pierwsze zwycięstwo i wskutek tego nie może biernie słuchać, ale musi się wygadać, wypłakać, poradzić.

Czyż może wychowawca stale się przejmować „bachorami“? „Nowy“ płacze — przyzwyczai się. Wróblówna znowu ma trzy dwójki w szkole i nie odrabia lekcyj — ona się nadaje do zakładu dla upośledzonych umysłowo. Trzeba też ko-

niecznie posłać wniosek do Kuratorium o przeniesienie Kowalskiego — chłopak już skończył 14 lat i utrudnia pracę. Jest wprawdzie dopiero w VI oddziale i nawet nieźle się uczy, ale niech go sobie wezmą. Wyłamuje się z regulaminu, ciągle się zwalnia na miasto, tylko mu to harcerstwo w głowie. Trzeba też dać do zrozumienia tej pani Iksińskiej, aby przestała odwiedzać te „swoje" dziewczynki, bo to tylko wprowadza zamęt i utrudnia pracę. Przecież im się tu krzywda nie dzieje, mają wszystko, chodzą do szkoły — więc na co te odwiedziny. Jak dziecko przechodzi do innego zakładu, to nie należy utrzymywać z nim kontaktu, bo to utrudnia pracę „tamtym" nowym wychowawcom. I temu panu z PCK trzeba napisać, że Julek ma teraz „rodzinną" opiekę w zakładzie, więc nie pojedzie doń na święta, bo o tych wspólnych przeżyciach „lagrowych" pora już zapomnieć.

To są autentyczne wypowiedzi „wychowawców domów dziecięcych".

Ileż w tym wszystkim zakłamania i braku zwykłego, dobrego serca!

Czy chcielibyśmy być wychowankiem naszego „Domu Dziecka"? Czy chcielibyśmy, aby nasze „własne" dziecko było jednym z tych „wychowanków"?

Czy możemy się spodziewać, że w tych warunkach wychowanek pokocha „Dom Dziecka", będzie się w nim dobrze czuł i kiedyś będzie doń wracał tęsknym wspomnieniem, jako do „kraju lat dziecięcych", który zaopatrzył go na całe życie w zapas optymizmu i wiary w siebie, w ludzi, w dobro...

Czego właściwie chce autor artykułu? Współżycia z wychowankiem? Na czymże to współżycie ma polegać?

Na tym, że wzajemnie mamy sobie coś do powiedzenia, ja — wychowawca i on — wychowanek.

— Wiesz, Stefan, widziałam na wystawie w Warszawie model samolotu. Prosiłam Franka, mego znajomego, aby go naszkicował dla ciebie.

Lubię, nawet kocham tych moich chłopaków, choć to są wisusy. A gdy jestem chora, to Stefan zakrada się na palcach do mego pokoju (myśląc, że śpię) i kładzie mi na łóżku swego ukochanego białego królika, do którego nikomu nie pozwala się dotknąć. To mi na pewno sprawi wielką przyjemność! — I sprawiło.

Gdy dostaję list z dwoma dużymi kleksami, w którym Rena pisze niezdarnymi kulfonami: „Brysio zdech Kochana

pani kierowniczko i kiedy pani przyjedzie i przywiezie Mundury bo jak pani nie przywiezie móndurów to my się ściekniemy", — wtedy wiem, że między mną i Reną została zadzierżgnięta jakaś nić, że Rena mi ufa całym swoim dziecięcym serduszkiem, że wierzy, iż ja na pewno mam pieniądze i kupię ten wymarzony mundurek zuchowy. A gdy rok później dostaję od tejże Reny równiutko na dwa dni przed Nowym Rokiem czyściutko, bezbłędnie napisane życzenia, to wiem, że list ten był pisany na polecenie i pod nadzorem starszego rodzeństwa i nie jest żadnym wyrazem uczuć dziecka.

I takaż więź jest między wychowawczynią a dziewczętami, rozprawiającymi i wspólnie omawiającymi najpierw reformę rolną, potem moralność Ewy Pobratymskiej, następnie problem wiary, a wreszcie — ni stąd, ni zowąd — przechodzącymi na zwierzenia dotyczące marzeń o jedwabnych pończochach, ukończenia stomatologii i zjedzenia dużo, dużo ciastek z kremem. Czy te rozmowy „nieskoordynowane", nie ujęte w ramy planu wychowawczego są potrzebne?

Konieczne.

Tam, gdzie nie ma „takich" rozmów — trudno o wpływ wychowawcy, bo stosunek nie jest szczery, bo nie wiemy, o czym marzy obecnie nasz wychowanek.

Potulne zgadzanie się ze zdaniem wychowawcy jest często pozorem. Wychowanek, jak każdy młokos, ma ducha przekory i dlatego nieraz dyskutuje, próbuje przeciwstawiać naszym argumentom inne, — jego zdaniem bardziej nowoczesne, postępowe, naukowe. Ale młodzież ma potrzebę „obgadania" różnych spraw, odczuwa głód nowych myśli i oświetleń, oraz — choć się do tego nie przyznaje — szuka autorytetu. I mimo swych pozorów lekceważenia, buntu, samodzielności młodzież tak bardzo pragnie rady serdecznej i doświadczonej. Gdy nie może się o nią zwrócić do obdarzonych bezgranicznym zaufaniem rodziców lub wychowawców, — to zwróci się o nią gdzieindziej, a następstwa tych poszukiwań mogą w niwecz obrócić wieloletnie kosztowne i mozolne „wychowywanie", na które się złożyły cierpienia matki, trud wychowawców, nauczycieli, lekarzy i higienistek, pieniądze społeczne, troska ustawodawców i społeczników, a nawet „wieczorówka" skromnej urzędniczki, która — mimo zmęczenia — śpiesznie wystukiwała kiedyś na maszynie skierowanie do zakładu, aby mały osierocony brzdąc mógł prędzej dostać się pod „dobrą" opiekę.

Zofia Zbyszewska.

— Kiedy będą pana imieniny?

— Siedź cicho. Nie mam żadnych imienin. Piszemy teraz.

— Każdy ma imieniny. No, niech pan powie kiedy?

— Bądź cicho!

— Pan powiedział, że jak czegoś nie wiemy, to mamy się pytać.

— Nie przeszkadzaj teraz!

— A ja nie wiem, więc się pytam.

— Do niczego ci to nie potrzebne.

— A właśnie, że potrzebne, bo ja chciałem panu coś przynieść na imieniny.

Wszyscy się śmieją, Pelasia najbardziej.

Na drugi dzień, gdy nauczyciel z największym przejęciem bada jakąś zawiłą sprawę skradzionego piórnika i nie może znaleźć winowajcy, Pelasia oświadcza:

— A ja już wiem.

— No, kto?

— Ósmego maja jest Stanisława!

Podał St. Trębaczkiewicz.

DZIECKO, KTÓRE NIE MA NIKOGO

Różne są dzieci w Domach Dziecka.

Janek ma babcię, o której dobroci tak pięknie kiedyś wieczorem opowiadał.

Marian — wujka, leśniczego, który mu pokazywał, jak żyją małe lisy.

Leszek — brata, bratową i nawet małe brataniątko.

Wiesia — matkę, która ciężko pracuje, ale na każde imieniny, czy urodziny pisze długie, serdeczne, pełne tęsknoty listy.

Stasia ma stryjka i kuzynów, Ziuta — siostrę, co mieszka w Warszawie i brata chorego, o którego martwi się i dla którego tak bardzo pragnie ukończyć szkołę, by mu zdrowie ratować.

Prawie każde dziecko ma kogoś poza domem, kogoś, o kim myśli, za kim tęskni, do kogo pojedzie na święta, czy w czasie wakacyj. Dziecko czuje, wie, że jest ktoś, kto o nim też myśli, kto je kocha, napisze list, czy przyśle paczkę.

Nie o zawartość paczki chodzi, ale o sam fakt, że są czyjeś ręce dobre i czyjeś myśli życzliwe i że w ogóle jest ktoś, kogo dziecko ma.

Ale są dzieci, do których nikt nie napisze, do których żadna paczka nie przyjdzie, o których nikt serdecznie nie pomyśli, życzeń na imieniny nie wyśle, nie zapyta w chorobie: czy lepiej — czy już wstajesz.

Tych dzieci jest dużo.

Są to przede wszystkim dzieci, które przyjechały ze Związku Radzieckiego i tam straciły rodziny; są to dzieci, którym Ukraińcy - banderowcy wymordowali rodziców i krewnych, dzieci, które do nas przyjechały zza Bugu.

Są to dzieci, które straciły najbliższych w powstaniu warszawskim, lub w czasie działań wojennych.

Są to dzieci, których rodziny wyginęły w obozach koncentracyjnych — i są to wreszcie dzieci, które nigdy matki nie widziały, ani nie miały własnego domu — może najnieszczęśliwsze, gdyż nawet nie mają wspomnień jasnego, szczęśliwego dzieciętwa.

Czy do tych dzieci nigdy nikt nie napisze? Nigdy o nie nikt nie zapyta?

Jak one nauczą się kochać ten „daleki" pozadomowy świat, kiedy w tym świecie nikogo nie mają, kiedy tam nikt ich nie kocha, nawet o ich istnieniu nie wie. Wprawdzie kocha ich pani wychowawczyni, czy siostra Urszula, czy pan instruktor, ale oni kochają również Stasia, Zosię, Józika, Stefka...

A tu chciałoby się, aby w liście było: Kochany Janku! — a nie: Kochane Dzieci, lub Drodzy Stefku, Staśku, Kaziku, Marcinie i Zbyszku!

Aby na małej paczuszce wyraźnie, wyraźnie było napisane: dla Janka Nowickiego. I aby książka, loteryjka, scyzoryk, latarka czy inny jaki drobiazg przysłany — był naprawdę dla Janka Nowickiego, właśnie dla Janka.

Kiedy pisałam te słowa ktoś mi zwrócił uwagę, że w ten sposób — rozwijać będę egoizm dzieci. Przecież ważniejsze jest, by grupa czy zespół dostał coś razem, i by nauczyli się „społecznie" z tego korzystać.

Miły przeciwniku — co byś powiedział, gdybym ciebie umieściła w domu wychowawczym, odbierając ci wszystko, wszystko, co masz własnego i gdybyś widział, że inni twoi współmieszkańcy otrzymują listy i drobne upominki, a do Ciebie przez tydzień, dwa, trzy, przez miesiące nikt nie przyjeżdża, nikt nie pisze i żadnej rzeczy na własność nie otrzymasz. Za to wolno ci „społecznie" korzystać z przesyłki dzieci ze szkoły X, w której to przesyłce zaadresowanej: dla biednych sierotek w przytułku w P. były trzy połamane (ale sklejone!) pajace, lalka bez oczu, niekompletne klocki, trochę małowartościowych książek i latarka bez baterii. Baw się, używaj tych rzeczy „społecznie".

Wróćmy jednak do właściwego zadania.

Co robić, aby wszystkie dzieci z domów dziecka otrzymywały listy, paczki, życzenia, aby były zapraszane do domów rodzinnych, aby w ciągu roku choć raz wyjeżdżały z domu dziecka w świat!

Chciałabym, aby na ten temat mogli się wypowiedzieć wszyscy, kogo ta sprawa boli, kto chciałby zmiany, by dzieci niczyje też miały przyjaciół w świecie.

Otwierając dyskusję chciałabym zwrócić uwagę na następującą sprawę:

Wypełnialiśmy w zeszłym roku kwestionariusz dla Amerykan, fotografowaliśmy dzieci, opisywaliśmy nasze gorzkie życie. Snuliśmy potem tysiące projektów: co dostaniemy z Ameryki, skąd, kto i co przyśle — jaka będzie realna korzyść z tych poczynań.

Zastanawiam się: czy nie lepiej byłoby uderzyć gdzie indziej?

Jest tyle sił w narodzie,
Jest tyle mnogo ludzi,
Niechże w nie duch twój wstąpi
I śpiące niech obudzi.

Niech obudzi tych, którzy śpią, którzy nie wiedzą komu i jak można przyjść z pomocą. Nie o pomoc materialną w pierwszym rzędzie tu chodzi, a o serce. O żywe, czujące serce ludzkie. Serce wrażliwe na smutek i samotność dziecka.

Czy nie należało by zrobić wielkiej krucjaty, wielkiego poszukiwania tych właśnie ludzi dobrych, a uśpionych?

Szukać przez radio, prasę, ogłoszenia. Nie czekać na pomoc... daleką, a zacząć mobilizować siły własne.

W pogadance radiowej z lutego 1937 r. na temat: Jak cudze dziecko stało się szczęściem samotnych ludzi — Róża Zawadzka zaapelowała do rodzin bezdzietnych. W ciągu marca 1937 r. około 150 dzieci samotnych znalazło rodzinę.

Zanim wejdzie w życie piękna myśl H. Radlińskiej o „przysięgłych opiekunach" szukajmy dla naszych dzieci przyjaciół już dziś, teraz, zaczynając od grupy najbardziej pokrzywdzonej — dzieci niczyich.

Aleksandra Majewska.

OBRAZKI

SPOTYKAMY DOMY DZIECKA

Obrazek pierwszy

Średniej wielkości sala, w niej sześć prostokątnych stolików z krzesełkami, fotepian, dwie szafki na pomoce i zabawki, maszyna do szycia.

W sali znajdują się dwie osoby dorosłe, 24 dzieci w wieku 3—10 lat, jedna dziewczyna 17-letnia, najstarsza wychowanka domu.

Dwie dorosłe osoby — to krawcowa, która szyje na maszynie palto oraz staruszka przygarnięta przez dom, która reperuje bieliznę, siedząc przy jednym z przedszkolnych stolików.

17-letnia dziewczyna przyszła tu z sali starszych i patrząc na „maludy", pisze wypracowanie o św. Mikołaju w zakładzie.

Dziewczęta szkolne z I—IV kl. rysują choinkę na zlecenie nauczycielki w szkole, powtarzają tabliczkę mnożenia („pytaj mnie na 9, nie będę patrzeć", prosi jedna drugą), piszą wypracowania, robią zadania. Zosia z I klasy usiadła przy babci i usiłuje szyć sukienkę lalce, Krysia z IV klasy ustawia ladę sklepową z pak unrowskich, na niej ustawia zabawki. Wpatrzone są w nią oczy trzylatków: Józia i Sławka, z których pierwszy tuli do siebie największą lalę, drugi — spoglądając co chwilę na pracę Krysi — turla po podłodze pokrywkę od słoika. Stefek układa wokół tej trójki klocki jeden po drugim, naprawiając „mur" zbudowany uprzednio dokoła zebranych na podłodze zabawek i dzieci.

Troje przedszkolaków na jednym ze stolików układa różne cuda z mozaiki — różnobarwnych kartek rozmaitego

kształtu, które czerpią z dwu sporych drewnianych pudeł, troje innych na podłodze układa domki z kolorowych pociętych patyczków. Domki mają już drzwi i okna, dalej kominy i dym, są nawet i ścieżki, prowadzące do domów.

Mała Jasia bawi się przy stoliku kaczątkiem drewnianym na kółkach, Kazia manipuluje łódką, siedząc na podłodze.

W sali jest cicho, uczyć się w niej łatwo, nikt jednak nie milczy, co chwila jedno do drugiego z czymś się zwraca — ale zwraca się cicho, szeptem lub półgłosem. Wszystkie są zajęte — mogą więc nie hałasować bezmyślnie.

W pewnym momencie wychowawczyni oznajmia: „dzieci już 6.30, zaraz będzie kolacja" — i wychodzi z sali. Dzieci zabierają się do sprzątania zabawek. Po chwili — doprawdy po krótkiej chwili — śladu już nie ma po zabawie i pracy. Zeszyty, książki, ołówki schowane na miejscu, wszystkie lalki i misie siedzą na półce, klocki są już w skrzyni, usuniętej za fortepian, patyczki są w koszyczku, a koszyczek w szafie obok pudeł z mozaiką, łódki, kaczuszki, wózki, lokomotywa, konie, koguciki, gałgankowe piłki — wszystko to jest już w szafce na swoim miejscu. Stoliki stoją równo, przy nich równo ustawione krzesełka. Dzieci sprzątają radośnie, z uśmiechem, z uśmiechem też schodzą, jedno przez drugie na dół do jadalni.

Pożegnane przez nas słowami „do widzenia dzieci" — odpowiadają swobodnie, nie chóralnie — „do widzenia paniom". Znać na dzieciach wychowanie — nie widać tresury.

Obrazek drugi

Dom zorganizowany jest niedawno. Obejmuje on w tej chwili 47 chłopców w wieku od lat 3 do 17. Cały administracyjny i wychowawczy personel Domu Dziecka stanowią tylko trzy wychowawczynie, które zajmują się dosłownie wszystkim.

Zakład ma duże trudności lokalowe i z tego względu poza sypialniami mógł tylko jedną izbę przeznaczyć na świetlicę, uczelnię, jadalnię i szatnię. Warunki materialne tego domu są bardzo opłakane i można śmiało powiedzieć, że dzieci odczuwają wiele braków.

Lecz jak ciepła, rodzinna atmosfera osładza życie tym 47 z różnych zakątków Polski zebranym chłopcom! Jak wszyscy ze sobą współpracują i czują się członkami jednej rodziny niech poświadczą takie przykłady. Kierowniczka domu po otrzymaniu kredytów z Kuratorium, po spożyciu wspólnego posiłku,

komunikuje chłopcom ile pieniędzy otrzymała, z którego paragrafu i naradza się wspólnie z chłopcami, co należało by najpierw za te pieniądze zrobić. Chłopcy bardzo poważnie i z pełnym zrozumieniem debatują, co należałoby zakupić, sami prowadzą rachunkowość i pomagają w załatwianiu sprawunków. Starsi chłopcy niezwykle czule i pieczołowicie opiekują się malcami okazując im tyle serca i pieszczot, że ci malcy uważają się za najważniejszych w tym domu. Przy myciu, kąpieli czy rozdawaniu posiłków te małe szkraby nie dość, że mają pierwszeństwo, lecz jeszcze wymagają, by wszystkie czynności przez starszych chłopców spełniane były szybko i uprzejmie.

W tym duchu wychowywani chłopcy poczuwają się do współodpowiedzialności za całość spraw domu i starają się wszelkimi dostępnymi im drogami przyczyniać do zaspokojenia potrzeb „swej rodziny". I tak: jeden z chłopców uczy się krawiectwa, a po przyjściu do domu po pracy szyje nowe i łata stare ubrania wszystkim chłopcom po kolei.

Drugi praktykuje u szewca i po przyjściu do domu łata wszystkim chłopcom buty. Obydwaj „rzemieślnicy" wykonywują te prace bezinteresownie. Dwaj chłopcy udzielają korepetycji z łaciny i języka angielskiego, a otrzymane honoraria w całości oddają do wspólnej kasy kierownictwa domu. Pytani dlaczego tak postępują — okazali zdziwienie i odpowiedzieli, że przecież w tym czasie, kiedy on byli na korepetycjach, to inni koledzy musieli coś w domu robić dla wspólnego dobra i dlatego oni dzielą się z kolegami swoimi zdobyczami. „A przecież, kiedy nam są pieniądze na coś potrzebne, to pani nam nigdy nie odmawia" powiadają.

W tym domu na każdym kroku widać prawdziwą ludzkość, serce i wysokie uspołecznienie wychowanków.

p—o.

O JEDNYM DOMU DZIEWCZĄT *)

Stwierdziłyśmy, że wiele młodych dziewcząt schodzi na złą drogę. Ustawa Przemysłowa zabraniała zatrudniać małoletnich przed ukończeniem 15 lat życia. Po skończeniu szkoły powszechnej, a nie mając warunków do dalszego kształcenia się, wiele dziewcząt próżniaczyło, co prowadziło je na manowce.

*) Ze sprawozdania wygłoszonego na Zjeździe Kierowników Domów Dziecka w jednym z Okręgów.

Chcąc je ratować założyliśmy szwalnię. Na pierwsze maszyny fundusze otrzymałam w 1928 r. z Urzędu Wojewódzkiego Opieki Społecznej. Niestety, z braku odpowiedniego lokalu, mogłyśmy zatrudnić tylko 5—10 osób.

W 1933 r. nabyłyśmy na własność kawałek bagna i domek w ruinie za 10.000 zł., które otrzymałyśmy jako ofiarę. Urząd przydzielił nam 80 bezrobotnych, którzy mieli odrobić zapomogi. Zabieramy się do roboty: kopiemy górkę, niwelujemy teren, na bagnie zakładamy ogród warzywny. Ruderkę remontujemy, zaciągając pożyczki w BGK. Po roku przenosimy się już do własnej siedziby.

Tu pracownia rozwija się do 30 osób. Odczuwamy jednak brak zamówień. Mając lat 50, staję do egzaminu czapniczego, otrzymuję dyplom i zakładamy na dużą skalę pracownię czapniczą. Zbieramy z przetargów zamówienia. Wykonujemy obstalunki dla: Komendy Gł. Policji Państw., Kierownictwa Zaopatrywania WP, KOP-u, Straży Granicznej, Kolei Państwowej, Poczty i Telegrafu. Już w r. 1936 cały dom obrócony jest na pracownię. Uruchomionych jest 10 maszyn motorowych i 62 zwykłych. Kto ma maszynę może stanąć do pracy. Pracuje na razie 120 osób, potem 240, na dwie zmiany. Są to przeważnie dziewczęta od 14 lat wzwyż. Zamówieniom ledwo można nadążyć. Dziennie wychodzi czapek KOP-u 500 sztuk, polówek do 1000. Mamy swój samochodzik, Opel mały, kierowcą jest jedna z pracownic 17-letnia dziewczyna. Jeździmy na przetargi, wysyłamy czapki wagonami, ze swym znakiem i plombą. Przyciągamy wiele dziewcząt, już ze złej nawet drogi, dając im dobry zarobek (mamy kilka młodych matek nieślubnych, wśród nich jedną 14-letnią).

Stawia nam duże trudności Inspektorat Pracy — nie wolno zatrudniać małoletnich. Dobijamy się o prawo zachowania i prowadzenia naszej placówki. Trwa to dwa lata. Wreszcie 15. 8. 1939 r. otrzymujemy, dzięki życzliwości i poparciu władz rządowych i samorządowych pismo, którego treść brzmi: „Dom X... jest instytucją wychowawczo-opiekuńczą i nie podlega Inspektoratowi Pracy". Z radości urządziłyśmy nadprogramowy wieczór taneczny dla naszych pracownic.

Wieczory takie odbywały się zwykle w ten sposób: przyjęcie dawał dom. Pracownice mogły przyprowadzić swoich gości, odpowiadając całkowicie za ich zachowanie. Miałyśmy zaufanie do naszych dziewcząt. Nic też dziwnego, że do chwili

obecnej wydałam zamąż 45, mam wnucząt 71, pracowników spośród mężów 19.

Cały rozmach naszej pracowni przerwał się nagle 1. 9. 1939 r. Potem przyszło wysiedlenie. Wróciłyśmy do domu zniszczonego przez wojnę. Dotychczas nie możemy zakładu doprowadzić do stanu dawniejszego.

Zmienił się charakter naszej pracy. Urząd Repatriacyjny zwrócił się do nas o przyjęcie dziewcząt zza Bugu. Utworzył się Dom Dziecka, który od 1. 1. 1946 r. przejęło pod opiekę Kuratorium Szkolne. Obecnie mamy 35 wychowanek, z tych część uczęszcza do szkół powszechnych, a część do zawodowych. Praktykę odbywają w naszej pracowni, która posiada dział krawiecko-bieliźniarski, hafciarski, szewski (pantofle sznurkowce).

Naszego zakładu nie można nazwać zamkniętym ze względu na system prowadzenia go.

Staramy się, aby wychowanki nasze miały kontakt z życiem i w ten sposób przygotowywały się do niego. Dzieci szkolne obowiązuje rygor zakładu zamkniętego. Starsze zaś mają pewną swobodę: otrzymują na własność bieliznę, ubranie, obuwie, za wykonaną robotę w pracowni płaci się im od sztuki. Zależy nam, aby umiały same myśleć o sobie, ubrać się gustownie, gospodarować ze swej kasy. Staramy się, aby wyrabiać w nich samodzielność i odpowiedzialność.

Zarzucają nam niektórzy, że mamy w Domu Dziecka kilka dorosłych dziewcząt. Są to dawniejsze nasze wychowanki, które, mając świadectwo czeladnicze, przygotowują się do egzaminu mistrzowskiego. Poza tym uważamy, że przebywanie na terenie zakładu paru starszych dodatnio wpływa na młodsze, mają w nich jakby wzór, podciągają się, aby zyskać zaufanie i też stopniowo uzyskiwać większe przywileje.

Pozwalamy naszym wychowankom chodzić do teatru i kina; za powrotem dzielą się zwykle ze mną swymi wrażeniami.

Nauka w Domu Dziecka jest otoczona wielkim szacunkiem. Dziewczęta wiedzą, że korzystać ze szkoły, uczyć się dobrze to ich pierwszy obowiązek. Aby je przygotować na dobre żony i matki, przydzielamy im dyżury nie tylko w sprzątaniu, lecz i w gotowaniu, praniu, ogrodnictwie. W celu wyrobienia w nich dzielności i zaradności wysyłamy starsze dziewczęta (na razie po dwie, potem pojedynczo) do innych miast po zakupy dla pracowni, lub dla załatwienia powierzonej im sprawy. Najczęściej udają się do Warszawy i Łodzi, ale znają też

Kraków i Częstochowę. Ostatnio 10. 12. 1946 r. wysłano dwie dziewczynki do Warszawy, aby odwiozły sztandar wykonany w pracowni. Nie znały miasta, nie widziały tramwaju elektrycznego. Trafiły wszędzie, według narysowanej im marszruty, były w Ministerstwie Komunikacji, a ponadto z własnej incjatywy zwiedziły Muzeum Narodowe. Wróciły niezmiernie uszczęśliwione i dumne.

Wyprawa taka spotyka oczywiście tylko dziewczęta zasługujące na całkowite zaufanie, które dały już dowody swego poprawnego zachowania się.

Poza tym robi się wszystko, aby wychowanki uważały Dom Dziecka za swój dom rodzinny (dużo jest sierot). Nie sprzeciwiamy się, gdy któraś chce przyprowadzić do niego swego znajomego. Urządzamy kilka razy do roku tańce, a co niedzielę zabawy, często z grą na fortepianie.

Najpiękniej odbywają się jednak wesela. Sierocie robi się wyprawę, po ślubie witamy chlebem i solą, kluczami i pieniędzmi. Stramy się ofiarować coś do gospodarstwa domowego. Przyjęcie skromne lecz obfite, tańce, często poprawiny. Najlepiej świadczy o tym, że dziewczęta kochają swój zakład fakt, że po wyjściu z niego często odwiedzają, radzą się w kłopotach, biorą udział w uroczystościach.

S. Maria.

JEDEN ZE STAŚKÓW

— Podoba ci się maszyna?

Spłoszyłem go rzuconym znienacka pytaniem. Zaskoczony na „gorącym uczynku" oglądania samochodu, odsunął się gwałtownie od wozu i znieruchomiał w półobrocie ku mnie.

Powtórzyłem pytanie.

— Tak — odpowiedział.

— Znasz się na tym?

— E, nie bardzo.

— A dlaczego zaglądałeś pod wóz?

— Chciałem... — zawahał się. — Czy ma napęd na obydwie osie chciałem zobaczyć — wyrzucił jak wyuczoną lekcję.

— Ho, ho! To jednak znasz się. Kto cię tak wykształcił?

— Słyszałem, jak rozmawiają.

— Kierowcy, prawda?

— E, nie. Chłopcy. U nas... w szkole...

— A widziałeś już kiedy taki wóz o napędzie na obydwie osie?

Oczy mu zabłysły.

— Acha! Na rynku — zawołał z ożywieniem.

— To pewnie często tam zaglądasz?

— E, nie. Tylko jak idę ze szkoły.

— Tylko w drodze ze szkoły?... To poza tym cały czas spędzasz tu w zakładzie?

— Wychodzimy, ale za miasto. Nad rzekę. Razem z panem wychowawcą.

— A do miasta samemu nie wolno?

— Wolno. Jak się poprosi...

— To czemu od czasu do czasu nie wyjdziesz, żeby coś zobaczyć?

Nie odpowiadał.

— Nie lubisz sam spacerować?

Mruknął coś pod nosem. Zaintrygowany napierałem dalej.

— Słuchaj... Jak ci na imię?

— Stacho.

— Słuchaj, Stachu. Powiedz mi, dlaczego to, skoro tak interesują cię samochody, nigdy nie wyjdziesz na miasto. Tam pełno różnych wozów.

— No?...

Spuścił głowę i kreślił palcem bosej nogi jakieś kreski na piasku.

— No, co?... Może boisz się, żeby cię jakie auto nie rozjechało?

Wzruszył lekceważąco ramionami.

— Śmieją się — bąknął.

— Kto się śmieje?

— Chłopcy... ci z miasta.

— Z ciebie się śmieją?

— Z nas wszystkich.

Nie mogłem pojąć.

— Jakto?... Z wychowanków zakładu śmieją się?

Skinął głową.

— Ale dlaczego?... Co za przyczyna?...

Tym razem wiedziałem, że mi już nic więcej nie powie. Kręcił się niespokojne i zerkał w bok. Czułem, że jeszcze jedno pytanie a pryśnie bez ceremonii. Wyraźnie miał dość mojej indagacji.

Dałem mu spokój.

— No, nie przeszkadzam ci. Oglądaj maszynę, bo za chwilę odjedziemy.

Odszedłem parę kroków i obserwowałem go z boku.

Stał chwilę na dawnym miejscu. Potem, widząc, że nie interesuje się nim, przystąpił do przerwanego oglądania wozu.

Oglądał szczegółowo reflektory, dotykał opon, wspinał się na stopień, aby zajrzeć do środka.

— Jak on dziwacznie wygląda — pomyślałem po dłuższej obserwacji.

Było coś w jego ruchach, czy w jego ubiorze, co czyniło go jakimś niezdarnym i pokracznym.

Podszedłem do auta.

— Stachu!

Zeskoczył ze stopnia.

Wystarczył jeden rzut oka, abym wszystko zrozumiał.

Wykluczona jest zła wola. Może raczej nieporadność, a w każdym bądź razie brak choćby odrobiny zmysłu estetycznego spowodował, że kierownictwo zakładu zrobiło z tego chłopca karykaturę.

Stał przede mną w długich, zawijających się aż pod pięty, spodniach i bardzo luźnej, „na wyrost" szytej, bluzie. Cieniutka szyjka kolebała się w obszernym, stojącym kołnierzyku. Dłonie ginęły w czeluściach potężnych rękawów. Wystrzyżona „pod zero" głowa dopełniała żałosnego obrazu.

Istny więzień. Albo pensjonariusz jakiegoś zakładu leczniczego.

— Czy wszyscy macie takie ubrania?

— Tak. To na lato pan kierownik kazał uszyć. Drelichowe.

Jakież piękne ubranka, albo mundurki harcerskie można było poszyć z tego drelichu.

— Siadaj, przejedziesz się z nami — powiedziałem, jakby tym zaproszeniem można coś pomóc temu dziecku.

— Nie tam. Tu siadaj, ze mną — zawołałem, widząc jak gramoli się z pośpiechem na platformę.

Wsunął się nieśmiało. Pociągnął nosem z wrażenia.

Wyjechaliśmy z podwórka.

Nie chciał siedzieć. Stał na wpół wychylony na zewnątrz. Wyraźnie pragnął, aby go wszyscy widzieli. Oczy błyszczały mu z podniecenia. W pewnej chwili wydał jakiś bojowy okrzyk w kierunku gromadki chłopców, stojących na chodniku.

Dojechaliśmy do wylotowej ulicy.

— No, my dalej jedziemy. Musisz już wysiąść — powiedziałem.

Wysiadł posłusznie.

— Do widzenia. Jak będę następnym razem — pojeździmy dłużej.

— Do widzenia — powiedział niepewnym głosem, jakby niedowierzając, że cała zabawa już się skończyła.

Auto ruszyło.

Chwilę patrzył w naszą stronę. Potem ruszył ostro w kierunku zakładu.

Teraz żałuję, że nie odwiozłem go do domu. Radość wywołana przejażdżką została unicestwiona.

Uciekał przed śmiechem chłopców. Przed opinią społeczności dziecięcej, do której w swym karykaturalnym stroju nie miał wstępu.

Wł. Kozłowski.

O TEATRZE DLA DZIECI

Część I.

Teatr dla dzieci. Termin ten jest ogólnikiem, pojęciem niesprecyzowanym. Dzieci to publiczność niejednorodna. Wiek i związany z tym rozwój umysłowy dzielą dzieci na grupy. Mówimy: teatr dla dzieci starszych, teatr dla dzieci młodszych. W teatrze dla dzieci konieczne jest określenie wieku widza. Najogólniej biorąc, mówiąc o teatrze dla dzieci, mamy właściwie na myśli trzy a nawet cztery różne teatry. Pierwszy to teatr dla dzieci w wieku przedszkolnym, czyli od lat 4 — 7, drugi od lat 7 — 10, trzeci 10 — 12 i czwarty od lat 12 — 14. Nie znaczy to, że dziecko 10-letnie nie może oglądać widowiska dla dzieci 4 - letnich; że nie może iść na piękne widowisko do teatru dla dorosłych, ale widowiska te nie zaspokajają jego istotnych potrzeb.

Teatry przystosowane do poszczególnych etapów wieku dziecięcego winny się różnić między sobą odrębnym repertuarem i całkiem odmienną realizacją tego repertuaru. Badania psychologiczne nad dzieckiem, ujawniające odmienność potrzeb i reakcji dziecka w poszczególnych fazach rozwoju są liczne i bogate. Doświadczenia w dziedzinie praktyki teatru dla dzieci natomiast zasługują zaledwie na miano pierwszych

poczynań: Ten brak doświadczenia nie pozwala jeszcze na opracowanie właściwej metody pracy w teatrze dla dzieci. To co o pracy w teatrze dla dzieci wiemy, jest bowiem dorobkiem zaledwie jednego dwudziestolecia między zakończeniem jednej wojny (1918 r.), a początkiem drugiej (1939 r.).

Do tego czasu, a więc w olbrzymim pod względem chronologicznym okresie o żadnym fundamencie teoretycznym, na jakimby się mogła oprzeć praca w teatrze dla dzieci, nie ma mowy. Na przestrzeni tego okresu można zanotować jedynie nieliczne pozycje, które składają się na historię teatru dla dzieci.

Pierwszy teatr powstał w XVI w. w Anglii. Była to trupa dziecięca pod nazwą „Dzieci Królowej". Dla teatru tego przeznaczonego dla arystokracji pisali najlepsi ówcześni poeci, jak np. John Syly. Repertuar tego teatru oparty był na tematach mitologicznych i sielankowych.

Dziecięce zespoły zawodowe istniały w w. XVII i XVIII także we Francji i w Niemczech. Wszystkie one zostały jednak ostatecznie zlikwidowane na skutek interwencji prawodawców, którzy już wtedy uznali pracę zawodową dziecka jako aktora za niedopuszczalną.

Od tego czasu do początku XX w. teatrów pracujących wyłącznie dla dzieci nie było wcale. (Wyjątkową pozycję stanowi teatr marionetkowy, prowadzony przez Stevensona w Anglii w drugiej połowie XIX wieku). Natomiast w teatrach dla dorosłych urządzano często (mając przeważnie na celu zasilenie kasy) widowiska dla dzieci. Dla przykładu można podać „Kopciuszka" granego w 1903 r. w Krakowie za dyrekcji Józefa Kotarbińskiego, przedstawienie, które było otoczone wyjątkową starannością i grane przy udziale najlepszych aktorów. Przeważnie były to jednak widowiska na niskim poziomie tzw. rozrywki dla „naszych milusińskich", niewybredne i często wręcz ogłupiające.

Na początku w. XX zaczynają pojawiać się teatry dla dzieci, które jako podstawowe założenia stawiają sobie cele wychowawcze. W Ameryce (Herts), we Francji i Hiszpanii powstają próby związania pracy aktorów z pedagogami.

Nie znajdują jednak zrozumienia w społeczeństwie i szybko znikają z widowni.

Dopiero lata po roku 1918 zapisują się ciekawiej na karcie teatru dla dzieci.

W Sowietach, Polsce, Francji, Czechosłowacji powstał ruch, świadczący o nowym podejściu do tego zagadnienia.

Podstawa tego ruchu w różnych krajach była różna. W Sowietach kierowano się chęcią wychowania nowego człowieka. W Polsce pewne wzory ze Wschodu oraz fakt wybitnego podniesienia się poziomu wychowania w tym czasie wpłynął na rozwój teatru dla dzieci. We Francji były to poczynania utalentowanych jednostek (Chaucerel), których praca wyrosła z chęci wychowania dobrego widza.

Zorganizowany przez Natalię Satz w Moskwie w 1918 r. „Centralny teatr dla dzieci" ze względu na swoje ogromne doświadczenie stanowi dla nas interesujący materiał.

Po raz pierwszy przystąpiono do szkolenia nowych kadr artystycznych, które miały odtąd pracować wyłącznie dla dzieci. Artyści przy pomocy pedagogów uczyli się poznawać właściwości psychiki dziecięcej.

Poza specjalnym zespołem aktorskim, stworzony też został specjalny repertuar teatru dla dzieci, mający na celu wpływ wychowawczy, kształtowanie zmysłu estetycznego i stanowiący jednocześnie pożądaną rozrywkę.

Interesujący jest też kontakt, jaki nawiązano z widownią przy pomocy ankiet i korespondencji.

W Polsce po roku 1918 daje się również zauważyć dążenie do pracy świadomej.

Duże załugi na tej drodze położył kukiełkowy teatr „Baj" oraz teatry „Jaskółka" i „Reduta" z siedzibą w Warszawie. Poza Warszawą na uwagę zasługuje wileński teatr kukiełkowy „Bajka".

„Baj" powstał w 1928 r. i w ciągu jedenastu lat pracował bez przerwy. W pierwszym roku kierownikiem teatru był Szczepan Baczyński, zaś od roku 1930 do końca Jan Wesołowski. Największą zasługą „Baja" było wytworzenie odpowiedniej atmosfery wychowawczej w swoim teatrze. Teatr „Baj" pierwszy i jedyny w Polsce powołał do życia sekcję pedagogiczną. Sekcja prowadziła obserwacje widowni i przeprowadzała korektę tekstów. Prace sekcji, przerwane wprawdzie po roku jej istnienia, nie wykluczają ambicji zespołu w tym kierunku oraz świadczą o zrozumieniu konieczności współpracy aktorów z pedagogami. Zresztą większość zespołu „Baj" stanowili nauczyciele pedagodzy, co zapewniało odpowiednie podejście do dzieci. Strona plastyczna i muzyka, specjalnie komponowane, zostały przystosowane do poziomu widza.

Przy teatrze prowadzony był dział wydawnictw. W ten sposób powstało kilkanaście pozycji, przeznaczonych na scenę dla dzieci, tematycznie jeszcze, zwłaszcza w początkach, nie odbiegających od historii o Babie Jadze i krasnoludkach, ale reprezentujący cel wychowawczy.

Teatr „Baj" stworzył całą szkołę. Prowadząc kursy, szkolił instruktorów, którzy później stawali się kierownikami w terenie. W orbicie wpływów „Baja" działały, poza Warszawą— Łódź, Kielce i Śląsk. „Baj" przeznaczony był przeważnie dla dzieci młodszych w wieku przedszkolnym i w pierwszych latach szkoły powszechnej.

Dla dzieci starszych pracował teatr „Jaskółka" pod kierownictwem Haliny Starskiej. Otworzony w 1929/30 r. pracował do 1934, podejmując pracę na nowo w 1937 r. jako teatr Z. N. P.

Osiągnięcia w doborze repertuaru świadczą, że teatr na drodze tych poszukiwań obrał właściwy kierunek.

W zrozumieniu ważności regularnego uczęszczania do teatru w sposób planowy i ciągły, teatr traktowany był jako jedna z pomocy szkolnych.

Trzeci z kolei teatr dla dzieci „Reduta" powstał w 1937 r. pod kier. Ewy Kuniny przy ścisłej współpracy Marii Dulęby. W planie pracy, jako tematy do realizacji wyznaczono tu historię, geografię Polski, popularyzację wiedzy ogólnej np. fizyki itd. Nawiązano kontakt z młodszymi autorami, uzgadniając z nimi posunięcia w trakcie ich pracy, omawiając z nimi temat i formę widowiska. Starano się prowadzić obserwacje widowni i wyciągać z nich wnioski na przyszłość.

Hasłem tego teatru były wskazania Fenelona: nauczać — bawiąc, bawić — nauczając.

Zbyt krótki okres działalności „Reduty" nie pozwolił temu teatrowi ująć swoich prób i doświadczeń w formę teoretycznych założeń, według których teatr ten miał pracować. Niemniej placówka ta miała charakter eksperymentalnego warsztatu pracy teatralnej dla dzieci.

Powaga z jaką podchodzono u nas do zagadnienia teatru dla dzieci w ostatnich latach przed wojną znalazła swój skromny wyraz w poświęceniu temu zagadnieniu referatów na Nadzwyczajnym Walnym Zjeździe delegatów Z. A. S. P.-u w roku 1936, oraz poświęceniu temu zagadnieniu uwagi na jednej z komisji Kongresu Dziecka, zorganizowanego w Warszawie w 1938 r.

Lata od 1918 — 1939 r. to pierwszy etap świadomych poczynań w dziedzinie teatru dla dzieci. Przed organizatorami teatrów dla dzieci stoi cały szereg zagadnień otwartych, wobec czego teatry te winny mieć charakter eksperymentalny. Niemniej doświadczenia tego okresu pozwalają ustalić najbardziej podstawowe założenia, na których musi być oparta praca w teatrze dla dzieci.

Klima Krymkowa.

(D. c. n.)

WIECZÓR BAJEK

W domu dziecka lub świetlicy przynajmniej raz na miesiąc powinniśmy zorganizować „wieczór bajek". Wiadomo przecież, że dzieci poniżej lat 10 - ciu „przepadają" za bajkami i wieczór taki będzie dla nich wielkim świętem. A nie będzie on stratą czasu i z punktu widzenia wychowawcy. Opowiadanie bajek ma głębsze znaczenie w wychowaniu, niż dostarczenie doraźnej rozrywki.

Zamiłowanie do baśni występuje u dzieci w pewnym wieku tak wyraźnie, że psychologowie mówią tutaj o „wieku bajek". Górną granicę tego wieku stanowi 9 — 10 rok życia.

Zazwyczaj tak jest, że jeśli w rozwoju psychicznym jakieś zjawisko występuje powszechnie i intensywnie — musi ono odgrywać w tym rozwoju jakąś rolę, musi być pożyteczne. Jaką więc korzyść osiąga dziecko ze słuchania bajek?

Psycholog wiedeński, Charlotte Bühler, twierdziła, że literatura poszczególnych okresów kształtuje różne funkcje psychiczne, i tak: literatura okresu bajek — fantazję, wieku poprzedzającego dojrzewanie (podróże, przygody) — intelekt, okresu dojrzewania (poezje, powieści) — uczucie i wolę.

Sens tego następstwa polega na kolejnym ćwiczeniu sił psychicznych i stopniowym wprowadzaniu młodzieży w prawdziwe życie. Bo — jak zauważył inny psycholog, Büsse — bajki są „obce rzeczywistości", przygody i podróże „zbliżone do rzeczywistości", a dopiero powieść jest „zgodna z rzeczywistością".

Niełatwo jest dziecku wejść w realne życie, opanować prawo, rządzące światem, różnorodne stosunki, liczne wiadomości. Jakże ponętną wydaje się w tym okresie bajka, w której w odpowiednich momentach ingerują siły czarodziejskie, w której nie ma oznaczonego czasu i przestrzeni („dawno, dawno, za siedmioma górami"), w której występują postacie proste

i nieskomplikowane pod względem psychicznym. Magiczny sposób myślenia, właściwy dziecku i brak krytycyzmu znajdują odpowiednik w baśni.

A przy tym dziecko uczy się wiele, słuchając bajek. Zdobywa nowe wyobrażenia, uczy się ogarniać większe całości, ćwiczy na materiale fantastycznym swe myślenie, pogłębia (jeśli baśnie odpowiednio są dobrane) swe uczucia moralne. Jeśli chcemy poprzez literaturę piękną trafić do psychiki dziecka w tym wieku — musimy sięgnąć do baśni.

Nie zawsze rozumiano rolę fantazji w rozwoju dziecka i nie zawsze, w związku z tym, stosunek pedagogów do baśni był pozytywny. Były systemy wychowawcze, były nawet całe okresy kulturalne, które, stawiając ideał wychowania człowieka trzeźwego, negowały znaczenie fantazji, a co za tym idzie, i baśni. Takim systemem wychowawczym był system włoskiej lekarki, Marii Montessori. Takimi okresami była doba pozytywizmu, lub pierwsze lata rewolucji rosyjskiej. Uważano, że dziecko trzeba wprowadzać w realne życie bez niepotrzebnych odchyleń. Ale fantazja wygnana drzwiami — wracała oknem. I owe realistyczne opowiadania bywały przez dzieci zrozumiane i przeżyte we właściwy im, fantastyczny, sposób.

Dziś stosunek pedagogów do fantazji jest inny. Panuje pogląd, że każdy okres rozwojowy musi być przeżyty zgodnie z prawami, które niesie z sobą, a rzeczą wychowawcy jest dbać o to, aby przeżyty był bujnie, aby dostarczył dziecku wiele wartościowych treści. Rozwoju nie można przyśpieszyć, przechodząc ponad pewnymi prawami, jak nie można szybciej wyhodować żaby, obcinając kijance ogon. Ogon sam kijance odpadnie i okres fantazji sam przeminie, a realny świat zacznie nęcić dziecko swymi cudami (zresztą i w „wieku bajek" interesuje się dziecko światem realnym i podkreślenie roli fantazji nie odbiera wartości realistycznym opowiadaniom z życia zwierząt i ludzi). Lecz i w życiu człowieka dojrzałego fantazja odgrywa niepoślednią rolę. Podkreśla się jej znaczenie w dziedzinie wynalazków, w stawianiu hipotez naukowych, w twórczości artystycznej i w korzystaniu z tej twórczości.

Jeśli okres rozwoju fantazji nie jest tylko przejściowym „złem koniecznym" w życiu dziecka, jeśli rola wyobraźni jest twórcza, pozytywna, musimy otoczyć ją opieką. Wieczory bajek, wspomniane na wstępie, będą jedną z form tej opieki.

O terminie takiego wieczoru dzieci powinny być wcześniej powiadomione. Wytworzy to nastrój oczekiwania, który lepiej

przygotuje dziecko do słuchania. (Mówiąc to nie neguje się wartości bajek opowiadanych dorywczo, zależnie od nastroju i potrzeb chwili).

W czasie opowiadania bajek dzieci powinny wygodnie siedzieć wokół opowiadającego, na krzesłach lub kocach rozłożonych na ziemi. Lepiej nie zapalać górnej lampy, lecz małą stojącą na stole, której światło skierowujemy na osobę opowiadającą, zostawiając dzieci w półmroku. Wytworzy to odpowiedni nastrój. Przyjemność też sprawi dzieciom, gdy, w braku prawdziwego kominka, ułożymy niewielki stos drzewa z ukrytą wewnątrz latarką elektryczną, okrytą czerwoną bibułką. Najlepiej — oczywiście — słucha się bajek przy prawdziwym kominku. Lepiej jest, gdy opowiadający opowiada bajkę „z pamięci" nie trzymając się dosłownie tekstu, którym jednak może sobie pomagać.

Materiału do „bajkowych wieczorów" nie powinno nam zabraknąć. W ostatnich mesiącach ukazało się wiele zbiorów baśni, a wśród nich są i baśni Andersena i „baśnie z całego świata" i bajki lapońskie i inne. Dokładne tytuły tych zbiorów wraz z krótkim omowieniem ich treści znajdują się w spisie wydawnictw dla dzieci, w numerze bieżącym, lub numerach poprzednich naszego pisma. Każdy dom dziecka musi zdobyć się na zakupienie przynajmniej dwóch zbiorów baśni.

Jednym z tych zbiorów muszą być baśnie Andersena, jaśniejące nieśmiertelnym blaskiem. Przedziwna lotność fantazji, niezwykły czar języka i głęboka mądrość składają się na dzieło, które olśniewa i czaruje czytelnika. Historia ziarnka grochu, który zakwita w oknie chorej dziewczynki, lub przygody brzydkiego kaczątka poruszają najgłębsze warstwy psychiki, budzą refleksje i kształtują uczucie.

Spośród innych zbiorów baśni godne polecenia jest wydawnictwo Spółdz. Wyd. „Książka" pt. „Baśnie i legendy" zarówno ze względu na dobry na ogół wybór tekstów, jak i na bardziej przystępną cenę. W zbiorze tym są baśnie polskie, rosyjskie, estońskie, bułgarskie, baśnie „z tysiąca i jednej nocy", kilka baśni Grimma i Andersena. W opracowaniu zbioru widać dążenie do nadania książce wartości wychowawczych (czasem nawet dość sztucznie dodanych do baśni, które tych tendencji nie miały, np. baśń Grimma „Sześciu sobie zawsze radę da") co ma duże znaczenie dla wychowawcy. Inne zbiory baśni, będące obecnie w sprzedaży, dostarczają również wiele materiału, lecz często odstraszają swą ceną (dochodzącą w niektórych wypadkach do 700 zł.).

Jednakże przy korzystaniu z tych materiałów nie powinien opuszczać nas krytycyzm. Nie wszystkie bajki, nawet w starannie opracowanych zbiorach są dobre. Zdarzają się wśród nich bajki przesycone okrucieństwem, budzące u dzieci strach i grozę, lub też pobudzające ich wyobraźnię w niepożądanym kierunku. Nawet przepiękne baśnie Andersena nie wszystkie są dobre dla dzieci. Niektóre są zbyt trudne, inne — niepozbawione również owych momentów okrucieństwa, inne wreszcie — zabarwione tak głębokim smutkiem i tragizmem, że przytłoczyć mogą serca wrażliwych dzieci ciężarem przygnębienia i pesymizmu (słusznie zwróciła na to uwagę Krystyna Kuliczkowska w swym artykule w „Odrodzeniu"). Ostrzegamy szczególnie przed bajkami braci Grimmów. Oparte na wątkach ludowych baśnie w ich opracowaniu przesycone są scenami sadystycznymi i motywami okrutnych zbrodni. Sprawę tę omówił obszerniej W. Osterloff („Odrodzenie" Nr 19 w 1946), przytaczając wymowne fragmenty. „Wielka krwawa niecka — czytamy w bajkach Grimmów — stała pośrodku, a w niej leżeli martwi poćwiartowani ludzie; obok stał pniak, a na nim błyszczał topór". Takich rzeczy chyba nie chcemy czytać naszym dzieciom.

Starajmy się, aby przygotowane przez nas baśnie przykuwały uwagę dziecka, aby dostarczały mu silnych przeżyć psychicznych — aby jednak przeniknięte były szlachetnymi uczuciami, wiarą w zwycięstwo dobra, oddalone jak najbardziej od ponurego świata zbrodni i okrucieństwa.

*

Wieczór zimowy lub jesienny. Za oknami wiatr siecze strugami deszczu. Czy taki wieczór ma być koniecznie wieczorem nudy i smutku w domu dziecka, gdy stać się może najmilszym, wyczekiwanym, czarodziejskim „wieczorem bajek"?

Irena Skowronkówna.

SPIS WYDAWNICTW DLA DZIECI

Znaki:

Bierzemy pod uwagę przeciętny poziom szkoły podstawowej.

I — dzieci od 7 do 9 lat	* — książka dobra
II — dzieci od 9 do 11 lat	** — książka b. dobra
III — dzieci od 11 do 14 lat	*** — książka wybitna
IV — powyżej lat 14	

Książki oznaczone znakiem I nadają się również do głośnego czytania dzieciom w wieku przedszkolnym.

Bobińska Helena: O SZCZĘŚLIWYM CHŁOPCU. Powieść dla młodzieży. Wydanie 4, s. 256, zł 300.
Książka o szczęśliwym dzieciństwie. Piękna postać 10-letniego Romka zdobywa sympatię czytelnika. Dominującą nutą w powieści jest właściwy stosunek człowieka do człowieka, pozbawiony protekcjonalnej dobrotliwości, ale utrzymany na poziomie przyjaźni równego z równym, niezależnie od środowiska i narodowości. Tło — piękny krajobraz podgórski i pogodna atmosfera domowa. Należy jeszcze podkreślić idealny stosunek Romka do rodziców. (III, **)

Boguszewska Helena: ŚWIAT PO NIEWIDOMEMU. Warszawa 1946. Gebethner i Wolff, s. 128, 2 nlb. zł 75.
Powieściowy reportaż z zakładu dla ociemniałych w Laskach. Świat nieszczęśliwych dzieci o nieświadomie bohaterskiej postawie i poświęcenie widzących dorosłych, dzięki któremu nawet w takie życie można wlać trochę radości. (III, IV, **)

Dickens Karol: ŚWIERSZCZ ZA KOMINEM. (Spolszczyła Maria Kreczowska). Kraków 1946, Gebethner i Wolf, str. 126, zł 70.
Urocze opowiadanie o poczciwym woźnicy i jego malutkiej żonie, tchnące urokiem domowego ogniska. Wiara w moc dobroci i miłości, która potrafi wyczarować złudzenie szczęścia nawet w życiu ślepej dziewczyny i nawrócić złego fabrykanta zabawek, udziela się czytelnikowi. Książka ta, pisana dla dorosłych, powinna być czytana przez młodzież. Bardzo źle wydana. (IV, **)

Disney W.: KRÓLEWNA ŚNIEŻKA. (Opracowała Irena Tuwim). Warszawa 1946, Wiedza, zł 300.
Znana baśń o królewnie Śnieżce znalazła w filmie Disneya tak uroczą formę, że trudno nam inaczej wyobrazić sobie piękną królewnę, złą macochę i siedmiu krasnoludków. Poza artyzmem ilustracyj baśń Disneya ma jeszcze i tę zaletę, że stanowi dłuższą a jednocześnie łatwą całość, co wśród książek dla dzieci młodszych, przeładowanych drobnymi wierszami i opowiadaniami jest dość rzadką i potrzebną pozycją. (II, **)

Dumas Aleksander: HISTORIA DZIADKA DO ORZECHÓW. [Opracowała] W. Młodnicka. Z 138 drzeworytami P. Bertalla. Kraków 1947. Księgarnia B. Połonieckiego, s. 190. zł 300.
Urocze opowiadanie wigilijne, przypisywane Dumasowi, a będące prawdopodobnie arcydziełem fantazji niemieckiego poety Hoffmana. Czarodziejska, niezwykła historia o wojnie myszy z lalkami i królestwie zabawek, do którego droga prowadzi przez starą szafę, znajdującą się w mieszkaniu prezydentostwa Złotomirskich. Niesamowity

nieco urok opowiadania, w którym świat rzeczywisty jest równie niezwykły, jak kraina baśni, podnoszą czarujące, staroświeckie ilustracje. (II, III, **)

Gąsiorowski Wacław: HURAGAN. Tomów 2.

Powieść historyczna z epoki Napoleona, w opracowaniu dla młodzieży, dokonanym przez autora. Warszawa 1946. Wiedza. zł 600.

Powieść Gąsiorowskiego posiada rozmach, wyczucie ducha czasu i plastykę postaci. Jako cenną zaletę należy podkreślić brak szowinizmu, krytyczne spojrzenie na rolę Polaków w agresji Hiszpanii i współczucie dla broniącego swej wolności narodu. (III, IV, **)

Górska Halina: CHŁOPCY Z ULIC MIASTA. Warszawa (1946). Książka, s. 62, 1 nlb., zł 70.

Na tle świetlicy gazeciarzy — bolesne i ciągle aktualne zagadnienie — stosunek do ludzi innej narodowości i innego wyznania. Zagadnienie antysemityzmu ujęte głęboko i ze znakomitą znajomością psychologii tłumu. Smutna, wyrozumiała książka, zakończona optymistycznym akcentem wiary w braterstwo ludzkości. (III, IV, ***)

Górska Halina: DRUGA BRAMA. (Warszawa 1946). Książka, s. 232, zł 160.

Na tle wspomnień z własnego dzieciństwa autorka rozsnuwa historię przyjaźni dziewcząt z różnych środowisk. Miłość ludzi jest tym motorem, który rozpieszczoną córkę lekarza wyrywa z cieplarnianej atmosfery domu i każe stać się przewodniczką i opiekunką dzieci z „drugiej bramy". Brak twórczej dobroci, skoncentrowanie uczucia na jednym człowieku skaże robotnicze dziecko, Adelę, na samotność w jej własnym środowisku. Mocne akcenty społeczne, głęboka znajomość psychiki dziecięcej. (IV, **)

Korczakowska Jadwiga: CHIŃSKI DWÓR. Warszawa 1946. Wiedza, s. 140, 2 nlb. zł 200.

Opowiadanie z życia dzieci na koloniach letnich, napisane w formie pamiętnika jednego z uczestników. Wpływ kierownika kolonii, życie w zorganizowanej gromadzie przyczynia się do uspołeczniania charakterów. Dodatnie znaczenie ma również kontakt z naturą. Książka uczy współżycia i wzajemnej wyrozumiałości. Bardzo dobre wydanie. (III, *)

Korczakowska Jadwiga: DZIECI PODWÓRKA. Warszawa 1946. Wiedza, s. 79. zł 180.

Opowiadanie o losach Witka-sieroty, złośliwego, samotnego chłopca, w którym pod wpływem dobroci małej dziewczynki, odpłacającej mu dobrym za złe budzą się lepsze uczucia. Przemiany duchowej Witka

dopełniają przeżycia na kolonii letniej. Książka Korczakowskiej łączy zalety wychowawcze z żywą akcją i łatwą formą. Bardzo dobre wydanie. (II, III)

Krzemieniecka Lucyna: BAJECZKA Z PODWORECZKA. Warszawa 1946. Światowid, s. 31, zł 120.

Opowiadanie o święcie matki; dobrze wydane. (II)

Krzemieniecka Lucyna: O JASIU KAPELUSZNIKU. Łódź 1947. Łódzki Instytut Wydawniczy, s. 22, zł 150.

Poetyczne i dowcipne opowiadanie o dziwnym kliencie-księżycu w sklepie z kapeluszami. (II, *)

Makuszyński Kornel: AWANTURA O BASIĘ. Wydanie III. Warszawa (1946). Gebethner i Wolff, s. 215, zł 350.

Mała dziewczynka, córka zaginionego podróżnika, po śmierci matki dostaje się pod opiekę gromady oryginałów. W szczęśliwe życie Basi i jej opiekunów wnosi tragiczną nutę powrót ojca Basi — obłąkanego po strasznych przejściach. Dzięki miłości córki — ojciec wraca do zdrowia i życia. Charakterystyczne dla Makuszyńskiego połączenie humoru i patosu. (III, IV, *)

Makuszyński Kornel: SZATAN Z SIODMEJ KLASY (z trzema ilustracjami S. Bobińskiego). Warszawa 1946. Gebethner i Wolff, s. 301, 2 nlb. zł 400.

Szatan z siódmej klasy to najbystrzejszy chłopiec z całej szkoły, o złotym sercu i niezwykłym talencie detektywistycznym. Miejsce akcji stanowi stary, zrujnowany dwór, a czas zazębia się z epoką Napoleona, bo aż po te czasy sięga tajemnica, którą rozwiązuje młody detektyw. Żywa, trzymająca w napięciu akcja, komiczne postacie starego profesora i jego brata, roztargnionego matematyka, ładne, etyczne zakończenie i mniejsza ilość patosu niż zwykle w powieściach tego autora — tworzą dobrą całość. (III, IV, **)

Milne: KUBUŚ PUCHATEK (tł. Irena Tuwim, ilustracje E. Sheparda). Warszawa 1946. Wiedza, zł 250.

Fantastyczna powieść dla małych dzieci. Kubuś Puchatek to pluszowy niedźwiadek, obdarzony życiem w wyobraźni autora, który co wieczór opowiada swemu małemu przyjacielowi Krzysiowi czarujące historyjki o nim samym i jego ukochanych zabawkach-zwierzątkach. Doskonałe ilustracje. (II, **)

Ossendowski F. A.: MOCNI LUDZIE. Wrocław 1946. Książnica-Atlas, s. 179, zł 180.

Interesująca powieść z życia zesłańców na Syberii. Doskonale oddane środowisko i przyroda. (IV, *)

Page Benda: PRZYJACIOŁKI. Powieść dla młodzieży. Przełożyła z angielskiego S. Heymanowa. Kraków 1947. Księgarnia Powszechna, s. 190, zł 400.

Jedna z wielu angielskich powieści o „pensjonarkach". Ulubiona lektura dziewczynek, które w tych powieściach, rozgrywających się na tle luksusowych internatów, szukają zaspokojenia swojej tęsknoty za niezwykłymi przeżyciami. (III)

Salten F.: BAMBI. Kraków 1946. Księgarnia Powszechna, s. 228, zł 400.

Ładna lecz smutna książka o sarence. Filozoficzne uwagi o życiu zwierząt i ludzi będą niezrozumiałe dla młodego czytelnika, ale urok lasu przemówi z książki Saltena do wrażliwych na piękno. (II, *)

Twain M.: PRZYGODY TOMKA SAWYERA. Łódź 1946. Łódzki Instytut Wydawniczy, s. 198, zł 280.

Tomek, nieznośny urwis i utrapienie ciotki, która go wychowuje — to postać, która nas bawi i rozczula jednocześnie. Przygody Tomka przenoszą czytelnika z jednego nastroju w drugi, śmieszą go i przerażają na przemian, aż wreszcie pozwalają mu odetchnąć z ulgą, kiedy Tomek zdobywa bogactwo i sławę i staje się przedmiotem podziwu dorosłych i zazdrości rówieśników. Jedna z najsławniejszych książek na świecie, powieść, której humor i żywa akcja są czynnikiem przyciągającym dla młodzieży, a prawda psychologiczna i satyryczne ujęcie świata dorosłych mogą być ocenione dopiero przez wyrobionego czytelnika. (III, **)

Twain M.: PRZYGODY HUCKA. Łódź 1946, Łódzki Instytut Wydawniczy, s. 309, zł 280.

Huck — to godny przyjaciel Tomka z którym razem zdobywają bogactwo i sławę. (III, *)

Verne J.: 20 000 MIL PODMORSKIEJ ŻEGLUGI. Warszawa 1946. B. Matuszewski, s. 340, 1 nlb., zł 240.

Przygody uczonego profesora, uwięzionego na tajemniczym statku podwodnym. Dużo wiadomości przyrodniczych z zakresu flory i fauny podmorskiej. (III, IV *)

Verne J.: WYSPA TAJEMNICZA. W-wa 1946. J. Kubicki, s. 394, zł 420.

Powieść luźno związana z poprzednią. Kapitan Nemo, dowódca tajemniczego podwodnego statku, opiekuje się gromadą rozbitków; szlachetne postępowanie tych ostatnich przywraca mu utraconą wiarę w ludzkość. (III, IV, **)

Żabińska Antonina: DŻOLLY I S-KA. Warszawa 1946. Czytelnik, s. 121, 2 nlb., zł 220.

Powieść o życiu i śmierci oswojonej hienki. (III, *)

Andersen H. Ch.: KRÓLEWNA NA ZIARNKU GROCHU, s. 15, zł 75
NOWE SZATY CESARZA, s. 15, zł 75
SŁOWIK, s. 15, zł 75

(opracowała J. Wazlowa). Kraków [1946]. Wydawnictwo Książnica-Atlas.
Bardzo dobry pomysł. Baśnie Andersena wydawane pojedynczo lub po dwie razem w oddzielnych tomikach. Forma graficzna książeczek: dobry, wyraźny druk, duże litery, udostępniają nareszcie baśnie Andersena młodszym dzieciom. Opracowanie dobre, chociaż w *Królewnie na ziarnku grochu* może zbyt dowolne. (II, **)

Borudzka Wanda: NA ŁĄCE POMALOWANEJ SŁOŃCEM (ilustrował T. Gronowski). Warszawa 1946. E. Kuthan, zł 300.
Ładne wiersze o oryginalnej tematyce i formie. Nastroje, wypływające z bogatej fantazji i odczucia przyrody. Bardzo dobrze wydane, śliczne ilustracje. (I, *)

Brzechwa Jan: DEPESZA (ilustr. J. M. Szancer). Łódź 1946, Łódzki Instytut Wydawniczy, s. 23, zł 320.
Łatwe, żywe dydaktyczne opowiadanie wierszem. Dobrze wydane. Cena za wysoka. (I)

Brzechwa Jan: PALI SIĘ (ilustr. J. M. Szancer). Łódź [1946], Łódzki Instytut Wydawniczy, s. 280.
Dobre wierszowane opowiadanie o strażakach. Umiejętne połączenie dydaktyki i napięcia. Temat i forma odpowiadają upodobaniom dziecka. Ciekawa forma graficzna. Język miejscami niedbały. (I, *)

Brzechwa Jan: PRZYGODY PCHŁY SZACHRAJKI (ilustr. Cz. Wielhorski). Warszawa [1946]. E. Kuthan, s. 32, zł 260.
Wierszowana groteska, posiadająca zalety i wady twórczości Brzechwy. Pomysły i język predestynują książkę dla starszych czytelników, strona graficzna dla młodszych. Bardzo dobrze wydane. (III, *)

Brzechwa Jan: PTASIE PLOTKI (ilustr. Eryk Lipiński). Warszawa 1946. E. Kuthan, s. 30, 2 nlb., zł 480.
Dowcipne wiersze, doskonałe ilustracje. Wydanie luksusowe. Cena — bardzo wysoka. (I, *)

Konarski Kazimierz: ZŁĄCZYM SIĘ Z NARODEM. Powieść historyczna dla młodzieży z 7 ryc. Warszawa 1946. Nasza Księgarnia, s. 194, zł 170.
Powieść z epoki Napoleona, odznacza się dobrym wyczuciem ducha czasu, erudycją, brak jej jednak zwartej, interesującej czytelnika akcji. (III)

Kownacka Maria: OGRODEK (ilustr. Anna Lipińska). Warszawa 1946. Światowid, s. 31, zł 120.

Miłe, dobrze wydane wierszyki dla najmłodszych. (I, *)

Krzemieniecka Lucyna: BAŚŃ O TRZECH BRACISZKACH (ilustr. R. Szałasa). Łódź [1946]. Księgarnia Polska, s. 33, 2 nlb., zł 350.

Opowiadanie wierszowane. Przygody trzech synków szewca Partoła, wędrujących po świecie w poszukiwaniu pracy. Brak konsekwentnie przeprowadzonej akcji, rozwiązanie nielogiczne. Momenty wychowawcze podkreślone, ładne opisy. (I, II)

Krzemieniecka Lucyna: CZARODZIEJSKI ŚWIATEK (ilustr. R. Szałas). Łódź 1947. Księgarnia Naukowa, s. 44, 1 nlb., zł 250.

Zbiór wierszowanych opowiadań o różnorodnej tematyce i poziomie. Wyróżniają się „W czytelni" i „Co robią nasi sąsiedzi". (I)

Krzemieniecka Lucyna: O MŁYNARZU SYLWESTRZE. Warszawa [1946]. Książka, s. 57, zł 150.

Zbiór nowych i dawnych opowiadań. Dobra forma, ładnie przeprowadzone zagadnienia etyczne. Dobrze wydane. (II, *)

Lafontaine: 100 NAJPIĘKNIEJSZYCH BAJEK. Opracował, ułożył, wybrał i wstępem opatrzył Kazimierz Paszkowski. Łódź (1946). Księgarnia Polska, s. 176, 1 nlb., zł 400.

Książka, w której młodzież znajdzie materiały do lektury szkolnej, do inscenizacji, a miłośnik literatury wiele przyjemności. Wydanie niestaranne. Błędy w tekście. (III, IV)

Makuszyński Kornel: LIST Z TAMTEGO ŚWIATA. Warszawa 1946. Gebethner i Wolff.

Powieść o tajemniczym testamencie i o dziwnym spadku, którym dziwak-rejent obdarza swoich potomków. Ośrodkiem akcji jest poszukiwanie mniemanego skarbu i galeria oryginalnych postaci spadkobierców. Zaletą książki jest humor i poziom etyczny, wadą — patos i zbytnia gadatliwość. (III, IV)

Porazińska Janina: O DWUNASTU Z ZAPIECKA. (Warszawa) 1946. Czytelnik, s. 74, 3 nlb., zł 420.

Opowiadania o 12 wiejskich dziewczynkach. Jak zwykle, poetka wplata w codzienne życie motywy fantastyczne, obdarzając mową martwe przedmioty i uczłowieczając zwierzęta. Śliczne ilustracje. (I, II, *)

Szelburg-Zarembina Ewa: JAK ŚNIEGOWY BAŁWANEK DO MORZA WĘDROWAŁ. Łódź 1946. Łódzki Instytut Wydawniczy, s. 17, zł 110.

Opowiadanie o bałwanku, który szukał zimy, pisane rymowaną prozą i wierszem. (I)

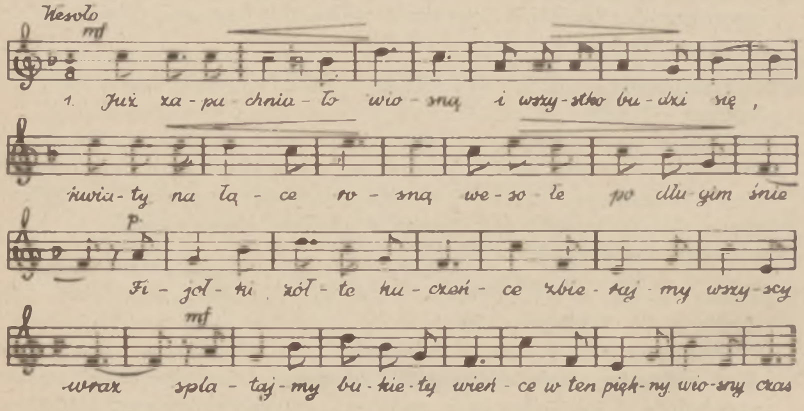
Stefania Wortman

WYSZŁA BURZYCZKA...



JUŻ ŻAPACHNIAŁO WIOSNĄ

Walczyk

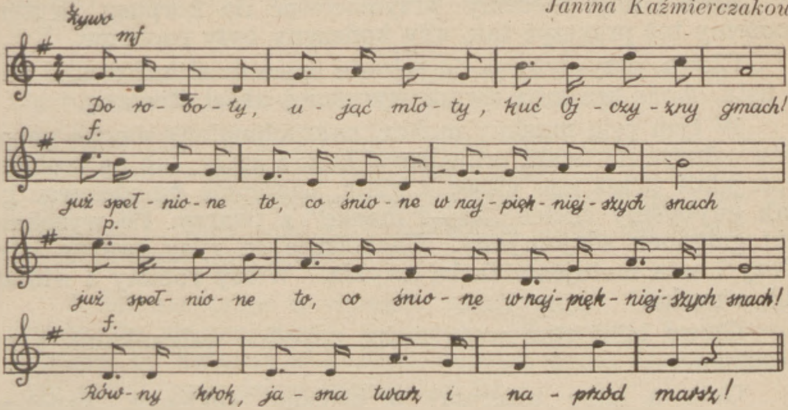


2. *Nad wodą się ukryła zdala od wszystkich w cień*
bielutka konwalia i dzwoni dzień, dzień, dzień, dzień.
Szukajmy konwalii białej, szukajmy wszyscy wraz,
gdzie dzwoni dzwoneczek mały w ten piękny wiosenny czas

DO ROBOTY

Marsz

Muzyka
Janina Kaźmierczakowa



2\. *Wolnej Polsce dziś ofiarę*
z pracy trzeba nieść,
by zdobyła wśród narodów
winny hołd i cześć!
Równy krok, jasna twarz i naprzód marsz!
3\. *Od rubieży do rubieży*
przez kraj wszerz i wzdłuż,
jedno płynie zawołanie:
Równy krok, jasna twarz i naprzód marsz!
— Wolnej Polsce służ!—

Podała Janina Kaźmierczakowa.

JAK Z NICZEGO ZROBIĆ COŚ

Nie może istnieć w domu dziecka dziewczynka bez lalki.

Robimy lalki z gałganków.

Lalki mogą być malutkie, małe, średnie i duże. Słyszałam o domu dziecka w którym radością napawały dziewczęta laluchny śpiące w pudełkach od zapałek.

Im mniejsza dziewczynka tym większa powinna być lalka.

Laleczki maleńkie i małe robią sobie same dzieci.

Lalki średnie i duże robią wychowawczynie lub starsze dziewczęta.

Z białego lub różowego materiału wycinamy formy na tułów, ręce, nogi i głowę. Każdą przyszywamy mocno, we-

wnątrz sypiemy trociny — lub, co znacznie jest lepsze — napychamy gałgankami.

Ręce i nogi możemy przymocować do korpusu drutem, możemy też przyszyć tak, aby kończyny były ruchome.

Głowa, przyszywana do tułowia może mieć haftowane oczy i usta, może też mieć twarz wyraźniej ukształtowaną.

W tym celu musimy mokry, nakrochmalony mocno gałganek nałożyć na twarz prawdziwej lalki z masy, lub na zrobioną specjalnie przez nas głowę z gliny, następnie umodelować go, jak gdybyśmy chcieli „zdjąć maskę" z twarzy. Po wyschnięciu gałganek zdejmujemy. Zachowuje on rysy twarzy lalki. Oczy i usta malujemy farbą zwykłą. Włosy robimy z włóczki lub sznurka.

Głowę lalki stanowczo radzę napełnić gałgankami, a nie trocinami.

Gotową lalkę ubieramy w bieliznę, sukienkę, kapelusz, skarpetki, buciki, może także sweterek, fartuszek i paltko. Duże tu pole do popisu dla dziewcząt, doskonałe zużytkowanie dla wszelkich resztek ubrań cioci UNRRA.

Podobnie jak lalkę, zrobić możemy misia. Ręce i nogi misia przymocowujemy do tułowia przy pomocy drutu, przeciągniętego przez tułów i każdą parę kończyn. Na końce drutu nawlekamy koraliki, poczem drut zaginamy. Koraliki umacniają naszą „konstrukcję".

Jeżeli napychamy misia trocinami — pamiętajmy o doskonałych szwach — bez nich miś się rozleci.

Oczy robimy z koralików, uszy przyszywamy, nos zahaftowujemy czarną nicią.

Cóż warta lala lub miś bez wózka czy łóżka?

Posiadane pudełka z paczki UNRRA, deszczułki — co tylko możemy — musimy dać dzieciom na łóżka i wózki.

Kółka mogą być ze szpulki, ośki — z grubego drutu lub ostruganego patyka.

Łóżko ani wózek nie mogą się obejść bez pościeli. Pamiętajmy o tym.

Lalka nie tylko śpi lub chodzi ze swoją mamusią na spacery. Musi mieć stół, krzesło, fotel, kanapę. Powinna mieć i kuchnię. Dobrze, jeśli ma cały dom.

Dom małej lalki zmieści się w pudełku UNRRA — dom taki powinna mieć każda dziewczynka.

Meble — naturalnie z pudełek od zapałek lub papierosów. Bardzo ładne „umeblowanie“ widuje się czasem w domach dziecka. Nie brak nawet firanek na drutach, dywanów, obrazów, luster.

Urządzanie domów dla lalek wykorzystać należy m. in. dla rozwijania w dzieciach zmysłu estetycznego.

Duże lalki powinny mieć jeden duży dom, przy którym pracowałaby i bawiła się cała gromadka dzieci (pozatem każda z nich tj. lal, ma swoje własne łóżko, być może przy łóżku „mamusi“). Dom taki ma tylko meble — nie ma dachu, okien i co najmniej dwu ścian.

Lalki nie tylko w domach przebywają. Chodzą one do szkoły, do sklepu, nawet do teatru. Wszystkie te instytucje powinny by kwitnąć w każdym dobrym domu dziecka, w którym przebywają dzieci poniżej lat 10.

Urządzić je można „z niczego“.

Potrzebne są tylko 3 rzeczy:

1. dobra wola wychowawczyni;
2. dobra wola wychowawczyni;
3. dobra wola wychowawczyni

i trochę miejsca i czas, czas do zabawy dzieci.

Postanówmy:

W każdym domu dziecka misie, lalki i wózki dla nich.

W każdym domu dziecka lalczyne domy.

Każda dziewczynka ma swoją lalkę.

Każda? — no, taka 16-letnia to już niekoniecznie.

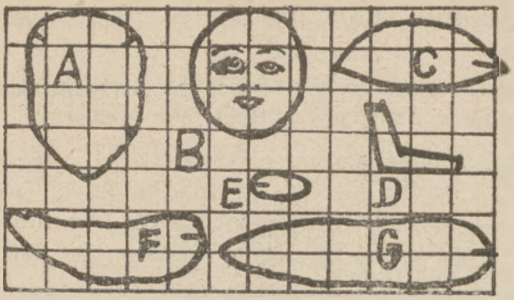
Każdy dom dziecka? — każdy. Wyłączone być mogą jedynie te, dla „dzieci“ od lat 14 do 18.

Irena Zgrychowa.

Popieramy całkowicie zdania koleżanki Zgrychowej:

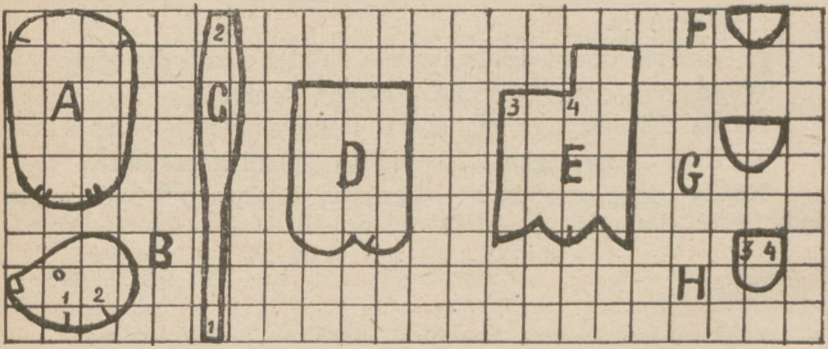
W każdym domu — dzieci,
Każdemu dziecku — lalka,
Każdej lalce — domek.

Redakcja.



L a l k a (wielkość około 35 cm).

Powiększywszy rysunek sześciokrotnie wycinamy z materiału część B jeden raz, części A, C, D i E po dwa razy, a części F i G po cztery razy. Najpierw łączymy z sobą dwie części A (korpus), po czym przyszywamy ręce i nogi wykonane z części F i G. Głowa składa się z jednej części B i dwóch części C, które zaczynamy zszywać z sobą w miejscu oznaczonym kreską. Część E to podeszwa, a część D — to ścianka boczna pantofelka.



N i e d ź w i a d e k (wielkość około 35 cm).

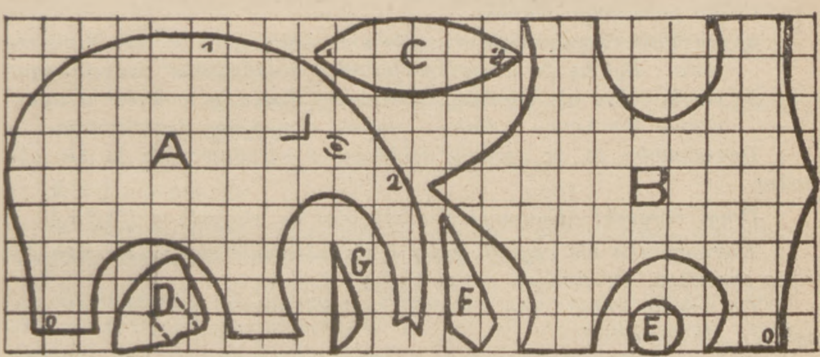
Rysunek powiększamy sześciokrotnie, po czym wycinamy z materiału po dwa razy części A, B, D, E i G, a część C jeden raz. Z materiału koloru różowego wycinamy część F dwa razy, a część H cztery razy.

Korpus „A“ wykonujemy podobnie jak korpus lalki. Do kończyn górnych (D) i dolnych (E) przyszywamy na stopach i dłoniach część H. Uszy składają się z części wewnętrznej F i zewnętrznej G.

Głowa składa się z dwóch części B, połączonych ze sobą paskiem C, który zaczynamy przyszywać w punkcie 1, a kończymy w punkcie 2.

Na nosek naszywamy kawałeczek różowego filcu, a oczy robimy z koralików.

Na szyi, aby zakryć połączenie głowy z tułowiem zawiązujemy kokardkę.



S ł o ń (wielkość około 30 cm).

Rysunek powiększamy sześć razy, poczym wycinamy z flaneli lub innego materiału dwa boki A, podbrzusze B, rozszerzenie głowy C, cztery razy części E (stopy), dwa razy część D (uszy) i raz część F (ogon). Część G — to kieł, który wycinamy dwa razy z płótna białego. Najpierw zszywamy po lewej stronie boki z podbrzuszem i ze stopami, zaczynając od punktu oznaczonego zerem, a następnie dołączamy rozszerzenie głowy, które sięga od punktu 1 do punktu 2. Na grzbiecie pozostawiamy otwór. Po wywróceniu woreczka na prawą stronę wkładamy na spód nóg cztery kółka wycięte z grubszej tektury, a po wypchaniu słonia wełną drzewną, gałgankami lub gazetami, zaszywamy otwór.

Kły i ogon wypychamy oddzielnie i łączymy z całością w miejscach oznaczonych kropkami. Uszy pofałdujemy wzdłuż linii przerywanych, a na oczy użyjemy małych koralików.

Mieczysław Burka.

OD REDAKCJI

Składanie piątego numeru pisma dzieli od wypuszczenia w świat numeru pierwszego zaledwie parę tygodni.

Dlatego — sądzimy — nie otrzymaliśmy jeszcze wielu odpowiedzi na „zadanie" z numeru pierwszego.

Ściśle mówiąc, dostaliśmy jedną odpowiedź.

Jesteśmy za nią autorowi wdzięczni.*)

Oto ona.

„Odnośnie zadań z pierwszego numeru miesięcznika nasuwają się następujące wypowiedzi:

Co do pierwszego obrazka:

a) wychowawczyni mogła w ogóle nie wiedzieć, co to jest Ministerstwo. Byłoby to dowodem jej głębokiego „niżu" umysłowego;

b) mogła także nie wiedzieć o istnieniu Rządu, a wiedzieć o zniszczeniu Warszawy i dlatego spytała o siedzibę Ministerstwa.

Dowodziłoby to, że sprawy społeczne i narodowe nic ją nie obchodzą.

Drugi obrazek: Kierowniczka zakładu nie słyszała o UNRRA.

Kierowniczka nie czytuje gazet i nie interesuje się w szerszym zakresie sprawami, związanymi z opieką nad dzieckiem.

Co należy zrobić, żeby wypadki takiego rodzaju przeszły jak najszybciej „do historii"?

Patrząc na dotychczasowe poczynania Ministerstwa Oświaty nie trudno na to pytanie odpowiedzieć: po prostu, robić w dalszym ciągu to, co Władze Szkolne w tej dziedzinie robić rozpoczęły".

Ministerstwu miło było dowiedzieć się, że jego praca została oceniona, ale...

redakcja liczyła na bardziej dokładną i szczegółową odpowiedź, na zarysowanie przez czytelników planu i metod, które by nas doprowadziły do celu, jakim jest w tym wypadku bliższe zainteresowanie wychowawców zdarzeniami politycznymi i społecznymi — otwarcie przed nimi okien na szeroki świat.

Kolega, który odpowiedź nadesłał komentuje pierwszy obrazek mylnie. Rozumiemy, że właściwa przyczyna nieświadomości wychowawczyni nie mogła mu przyjść na myśl.

---

*) Nie podajemy nazwiska autora odpowiedzi, nie wiedząc, czy tego sobie życzy. Na przyszłość prosimy wszystkich o informowanie nas przy odpowiedziach, czy na wypadek ich opublikowania mamy zamieścić nazwisko autora, czy nie.

Przyczyna była taka. Wychowawczyni (pamiętajmy, że rzecz działa się w jesieni 1945 r.) nie wiedziała, że jesteśmy państwem niepodległym i że mamy swoje władze.

Niprawdopodobne — a jednak prawdziwe.

*

Redakcja oczekuje odpowiedzi na następne „zadania".

Redakcja.

ZAGADKI HIGIENICZNE

W następnym numerze rozpoczniemy druk cyklu artykułów z zakresu higieny.

Dziś dajemy — zamiast wstępu — dwie zagadki higieniczne.

Zagadka 1.

Wchodzimy przed wieczorem do sypialni domu dziecka. Od progu cofamy się mimowoli — uderza w nas ciężki zaduch.

Opanowujemy się jednak i wchodzimy. Duża sala, czyste, jasne ściany, na których prócz świętego obrazu nic nie wisi, okna czysto umyte z wąskimi płóciennymi firaneczkami u góry. Firanki czyste. Podłoga lśni jak lustro. W sali stoi kilka rzędów metalowych, białych łóżek — poza nimi nie ma nic. Łóżka przykryte białymi kapkami, biało przykryte poduszki. Czystość aż bije w oczy.

Skąd ten okropny zaduch?

Redakcja bardzo prosi o nadsyłanie szczegółowych wypowiedzi w tej sprawie. Sprawa jest ważna — bo takich sypialni jest w Polsce parę tysięcy, a w nich parę dziesiątków tysięcy dzieci spędza około połowy swego życia zakładowego.

Zagadka pierwsza zawiera częściowe rozwiązanie następnej.

Zagadka 2.

Dlaczego w domu gdzie dzieci dobrze jedzą i gdzie jest im ciepło — dzieci są blade i ospałe?

Redakcja prosi o nadsyłanie wyczerpujących odpowiedzi.

KRONIKA

R. T. P. D.

W listopadzie 1946 r. Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci zorganizowało tydzień propagandy spraw dziecka. W ramach tego Tygodnia (10. — 17. XI.) na terenie całego kraju odbyły się akademie, wydano szereg odezw i nalepek z hasłami oraz „Jednodniówkę", omawiającą działalność i zamierzenia RTPD w zakresie wychowania i opieki nad dzieckiem.

W grudniu 1946 r. odbyły się 3 zjazdy RTPD:

8. — 10. XII. Zjazd delegatów wojewódzkich, poświęcony zagadnienom ogólno - organizacyjnym.

10. — 13. XII. — Zjazd kierowników domów dziecięcych. Na konferencji omawiano sprawy administracji i organizacji wychowania w domach dziecka.

14. — 19. XII. — Zjazd administratorów 51 ośrodków rolnych, przydzielonych RTPD, na którym obok spraw ideologicznych rozpatrywano zagadnienie administracji ośrodków ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb domów dziecka.

Przed zjazdami Prezydium Zarządu Głównego RTPD opracowało wydane w dniu 15. XII. 1946 r. przepisy i regulamin domów dziecka.

Naczelne miejsce w tych przepisach zajmują zadania domów, które przytaczamy:

Zadania

1. Domy Dziecka Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci są instytucjami wychowawczymi, prowadzącymi swą działalność w myśl zasad ideologiczno-wychowawczych RTPD.

2. Zadaniem Domu Dziecka jest zastąpić swym wychowankom dom rodzinny, dbać o ich wszechstronny rozwój, wychować ich na ludzi kulturalnych, przygotowanych do samodzielnego życia i do czynnej służby Polsce postępowej i demokratycznej w myśl ideałów polskiej klasy robotniczej.

3. W tym celu Dom Dziecka:
   a) stara się o ochronę zdrowia i o normalny rozwój fizyczny wychowanków poprzez organizowanie zdrowotnych i kulturalnych warunków bytu, racjonalnego wyżywienia i ubierania, a także opieki lekarskiej;
   b) dba o rozwój intelektualny wychowanków i o zapewnienie im wykształcenia co najmniej w zakresie szkoły podstawowej;

c) stara się o wszechstronny rozwój zdolności dzieci i o przyzwyczajenie ich do życia społecznego poprzez organizowanie świetlicy, zajęć zespołowych, samorządu dziecięcego oraz przez zacieśnienie kontaktu ze społeczeństwem;

d) stara się o kształtowanie w dzieciach nawyków z dziedziny kultury życia codziennego oraz nawyków i umiłowania pracy poprzez organizowanie pracowni, warsztatów i pracy na roli;

e) pomaga w wyborze zawodu i doprowadza do kompletnego usamodzielnienia się wychowanków opuszczających Dom Dziecka;

4. wychowanie w Domu Dziecka ma charakter świecki; wychowanie w Domu Dziecka jest koedukacyjne na wszystkich stopniach.

A teraz kilka ogólnych informacji o Robotniczym Towarzystwie Przyjaciół Dzieci.

Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci ma swoją dawną i ciekawą tradycję. Powstało bowiem w r. 1919 jako Wydział Wychowania Dziecka przy PPS.

Zadaniem Wydziału było roztoczenie opieki nad dzieckiem robotniczym, którego dola zawsze była ciężka, a które w okresie powojennego kryzysu gospodarczego i związanego z nim bezrobocia było w sytuacji zgoła tragicznej.

Szczególną troską Wydziału Wychowawczego było umożliwienie dzieciom z rodzin robotniczych wychowania i wykształcenia, które by im dawało taki start życiowy jaki miały dzieci ze sfer uprzywilejowanych.

W 1926 r. powstaje odrębne już Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, które nazwę swą zachowało do dzisiaj. Nazwa ta bywa często powodem nieporozumień. Niektórzy bowiem sądzą, że wytycza ona zakres pracy Towarzystwa, że sprowadza ją wyłącznie do terenu robotniczego. Tymczasem, na licznych afiszach czytamy: „RTPD służy wszystkim dzieciom...", „RTPD kocha wszystkie dzieci" — Nazwa „Robotnicze Towarzystwo" ma tylko podkreślić moment ideologiczny: że RTPD wychowuje w duchu socjalistycznym.

W czasie wojny praca RTPD została zahamowana, gdyż Towarzystwo zostało przez władze niemieckie zawieszone i mogło działać tylko potajemnie. Działalność jego została reaktywowana w listopadzie 1944 r. w Lublinie z inicjatywy premiera E. Osóbki-Morawskiego.

Dzisiaj centrala RTPD mieści się w Warszawie, a o ambicjach Towarzystwa i zakresie jego działalności świadczy fakt, że w ciągu krótkiego okresu niepodległości powstało 8 Delegatur Wojewódzkich oraz

90 oddziałów, poprzez które centrala RTPD prowadzi 240 instytucyj wychowawczych (w tym 23 domy dziecka) opiekując się 40 tys. dzieci (dane według jednodniówki RTPD wydanej z okazji tygodnia RTPD).

Towarzystwo prowadzi poradnie dla matek ciężarnych, poradnie lecznicze i wychowawcze żłobki, domy dziecka, przedszkola, świetlice, szkoły, gimnazja a nawet cztery teatry dla dzieci.

RTPD opiekuje się dziećmi miast. Analogiczną działalność na terenie wsi prowadzi Ch. T. P. D. (Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci), które powstało w r. 1946. Oba Towarzystwa pracują w porozumieniu ze sobą.

ZJAZDY

W dniach 8—11 stycznia 1947 r. odbył się w Ministerstwie Oświaty zjazd naczelników Wydziałów Opieki nad Dzieckiem w Kuratoriach Okręgów Szkolnych.

Na zjeździe Departament VII przedstawił naczelnikom osiągnięcia w zakresie opieki nad dziećmi i młodzieżą w roku 1946 oraz plany pracy na okres nabliższy, zaś naczelnicy złożyli sprawozdania z prac, zestawienie trudności i braków oraz projekty rozbudowy pracy w terenie.

Ob. wiceminister Kuczkowska poinformowała zebranych, że z dniem 1. I. 1947 r. zakres prac Departamentu VII, a co za tym idzie — odpowiednich komórek w terenie — uległ rozszerzeniu przez włączenie do Departamentu VII spraw burs i internatów oraz Wydziału Wychowania, obejmującego sprawy higieny, wychowania fizycznego i organizacji młodzieżowych oraz zagadnienie kultury dziecięcej i młodzieżowej (teatr, literatura, radio itd.). Jednocześnie Departament podejmie walkę z przestępczością nieletnich w ścisłym porozumieniu z resortami Sprawiedliwości i Bezpieczeństwa.

Departament VII otrzymuje nazwę: Departament Wychowania i Opieki nad Dzieckiem, a Wydziały w Kuratoriach — nazwę: Wydział Wychowania i Opieki nad Dzieckiem.

*

W dniach 14—17 stycznia 1947 r. odbył się zjazd kierowników domów dziecka Okręgu Warszawskiego, a w dniach 21—24 stycznia — Okręgu Szczecińskiego.

Na Zjeździe Warszawskim Kuratorium ogłosiło konkurs dla czynnych pracowników domów dziecka, burs i internatów na najlepsze opracowanie jednego z czterech podanych tematów.

1. Najtrudniejsze chwile w mojej pracy wychowawczej.
2. Najmilsze chwile w mojej pracy wychowawczej.
3. Najtrudniejsze dziecko, nad którym pracowałem (am).
4. Opis rzeczywistego eksperymentu wychowawczego.

Termin konkursu upływa dn. 15. VII. 47 r.

Nadsyłać należy dwie koperty z napisem „Konkurs Wychowawczy". W jednej kopercie praca opatrzona godłem, w drugiej godło oraz nazwisko i adres autora.

Najlepsze prace zostaną nagrodzone oraz wydrukowane w czasopiśmie „Dzieci i wychowawca".

Jako nagrody przewidziane są komplety książek pedagogicznych.

W porozumieniu z Kuratorium Warszawskim Redakcja rozszerza zasięg konkursu na całą Polskę.

Odpowiedzi z terenu całego kraju z wyjątkiem Okręgu Warszawskiego kierować należy do Redakcji: Warszawa, Al. I Armii W. P. 25, Ministerstwo Oświaty, pok. 259. Okręg Warszawski kieruje odpowiedzi do Kuratorium Okr. Szkoln. Warszawskiego, Warszawa, Marszałkowska 6, Wydział VI.

PRACE KOMISJI X. NA KONGRESIE PARYSKIM
SIEROTY WOJENNE

(Ciąg dalszy)

Paryski Kongres Ligi Nowego Wychowania wysunął i sformułował tezę, że społeczeństwo starsze powinno dążyć do tego, aby wszystkie kategorie dzieci — ofiar wojny zapomniały jak najprędzej o jej okrucieństwach i o cierpieniach zadanych im w „czasach pogardy". Postulat ten powinien znaleźć zastosowanie zwłaszcza w stosunku do wszystkich sierot i pół-sierot wojennych, których mamy w Polsce wyjątkowo dużo. Postulaty są właściwie dwa: pierwszy, aby nie przypominać tym dzieciom stale o tym, że są ofiarami wojny i drugi, aby nie wychowywać ich w przekonaniu, że przysługują im z tego tytułu specjalne prawa, przywileje i względy.

Jeśli chodzi o otoczenie dziecka atmosferą wręcz odrębną od tej, w której wzrastało ono w czasie wojny i o przywrócenie go normalnemu dziecięctwu — droga stojąca przed wychowawcą jest jasna i prosta. Należy walczyć przede wszystkim z obsesją tęsknot i wspomnień, leczyć urazy i szoki a wreszcie zastąpić dziecku nieistniejącą rodzinę. Jednocześnie nie należy izolować dzieci w domach grupujących wyłącznie istoty skrzywdzone przez wojnę. Dziecko-sierota powinno znaleźć się albo w rodzinie zastępczej, albo w normalnym Domu Dziecka, w którym wychowują się dzieci różnych kategorii.

Dlatego też w czasie dyskusji na Komisji X-ej Kongresu poruszana była sprawa nie tworzenia domów dla dzieci jednakowo pokrzywdzonych lub też pochodzących z tych samych terenów zniszczonych w czasie działań wojennych. We Francji zostały utworzone niedawno specjalne domy dla dzieci ofiar obozów, dla dzieci więźniów politycznych, dzieci rozstrzelanych, dzieci wysiedlonych z terenów pod Dunkierką itp.

Kongresiści wypowiedzieli się zasadniczo przeciwko tworzeniu podobnych skupisk dzieci skrzywdzonych przez wojnę, a już specjalnie mocno przeciwstawili się nadawaniu tym domom tego rodzaju nazw. Nazwy sierocińców nie powinny przypominać dzieciom ich osamotnienia i niedoli, powinny być albo neutralne w wyrazie i zabarwieniu uczuciowym, albo powinny budzić skojarzenia przyjemne. Na równi z nazwami raniącymi uczucia wychowanków niedopuszczalne są nazwy pompatyczne i sztucznie wesołe.

Ze sprawą przywrócenia dziecku normalnego dzieciństwa i sprzyjającego środowiska wychowawczego łączy się problem jego nauczania. Czy dziecko ma się uczyć w szkole utworzonej w Domu Dziecka, czy też uczęszczać do szkoły nazewnątrz? Zdawałoby się, że to ostatnie stanowisko — jako słuszne i postępowe nie może podlegać dyskusji. Okazało się jednak, że wychowawcy francuscy mieli co do niego poważne zastrzeżenia. Po pierwsze obawiali się nieskoordynowania poczynań wychowawczych i zatargów między wychowawcami Domów Dziecka a szkoły. Twierdzili, że nie da się zawsze pogodzić wymagań jednych z żądaniami drugich i że na tym rozdźwięku między starszymi — straci zawsze i wyłącznie dziecko.

Drugim argumentem wysuwanym przeciwko uczęszczaniu dzieci do szkół wiejskich lub miejskich była obawa przed epidemiami. Zgrupowanie dużej ilości dzieci wyczerpanych fizycznie i mało odpornych jest już niebezpieczeństwem samym w sobie i grozi zawsze nasileniem chorób zakaźnych. Niebezpieczeństwo to wzrasta i zwiększa się z każdym dzieckiem posłanym do obcej szkoły, tym bardziej, że nie sposób jest w porę przerwać kontaktu ucznia z jego chorymi kolegami.

Delegacja polska, podobnie jak szwajcarska i belgijska, stanęła — mimo uznania słuszności tych zastrzeżeń — na stanowisku odmiennym.

Dziecko musi brać od najmłodszych lat żywy udział w życiu zewnętrznym. Wychowanie młodzieży winno się dokonywać przez potężniejące stopniowo uczestnictwo w pracach starszego pokolenia. Izolowanie wychowanków w Domach Dziecka i odcinanie ich od życia idącego wciąż naprzód może stać się dla nich groźniejsze w skutkach od choroby epidemicznej.

Cytowane przez delegata belgijskiego miasto - osiedle dla sierot pod Brukselą, tak zwane Cité Joyeuse, stanęło na tym właśnie stanowisku i zapewniło dzieciom żywy kontakt ze społeczeństwem. Jedynie grupa dzieci zacofanych i specjalnie trudnych uczy się w szkole istniejącej wewnątrz osiedla, reszta chodzi do szkół miejskich. Wychowankowie należą ponadto do miejskich klubów sportowych, związków samokształceniowych, świetlic i drużyn harcerskich.

Delegat szwajcarski kładł nacisk na podobne osiągnięcia Village Pestalozzi w Szwajcarii. Dzieci tego ośrodka wychowawczego przezna-

czonego obecnie wyłącznie dla sierot wojennych, są nie tylko wprowadzane w normalne życie i chronione przed wojennymi wspomnieniami, ale także chowane w wielkiej rodzinie narodów świata. Do Village Pestalozzi przyjmowane są celowo dzieci różnych narodowości w celu nauczenia ich „jak" żyć w zgodzie oraz we wzajemnej miłości i w celu wychowania ich na „ludzi wolnych, na obywateli całego świata". Specjalny nacisk kładą twórcy tego ośrodka na wychowywanie w duchu braterstwa ludów i na kształcenie sumień. *Science sans conscience est une ruine de l'ame* — nauczanie bez kształcenia sumienia rujnuje duszę.

Wprowadzanie dzieci w normalne życie powojenne wiąże się z wykorzenieniem z ich dusz i umysłów błędów oraz nałogów wojennych, z ich defaszyzacją psychiczną.

Wychowawcy powinni zwrócić szczególnie baczną uwagę na to, aby dzieci nie lubowały się w opowieściach własnych przeżyć pełnych niekiedy straszliwej grozy. Należy dbać także o to, aby jak najprędzej ustały zabawy „w powstanie", w „łapankę", w „zadawanie tortur" i „egzekucję". Cytowałam w swoim referacie wygłoszonym na Komisji X-ej następujące zdarzenie. Byłam kiedyś mimowolnym świadkiem makabrycznej sceny: grupa chłopców podczas zabawy zakopywała (na niby) żywcem swego kolegę. Skazany protestował i bronił się przed zasypywaniem go piaskiem w wykopanej uprzednio przez niego mogile. Prosił, aby go przedtem „rozstrzelano". Rozważania chłopców na temat tego, jaka kara da mu się bardziej we znaki i który rodzaj „śmierci" należy wybrać — świadczyły o tym, jak głęboko kara zbrodni niemieckiej wżarła się w ich mózgi i serca. Kongresiści opowiadali także o zabawie polegającej na tatuowaniu numerów oświęcimskich na rękach kolegów. Po dłuższej dyskusji uznano, że te tragiczne zabawy powinny zostać jak najprędzej zastąpione przez zdrową, normalną i radosną zabawę dziecięcą.

Wysunięty na Kongresie drugi postulat, aby nie wychowywać dzieci na przyszłych wierzycieli społeczeństwa jest również bezwzględnie słuszny, lecz trudniejszy do zrealizowania. Dzieci — ofiary wojny nie powinny istotnie wzrastać w przekonaniu, że przysługują im specjalne prawa i przywileje oraz że w przyszłości należeć się im będą specjalnie lukratywne posady. Niebezpieczeństwo polega jednak na tym, aby nie skrzywdzić tych dzieci po raz drugi przez zbytnią oschłość i surowość, aby nie przesadzić w traktowaniu ich na równi z innymi, zwykłymi dziećmi. Są to bowiem mimo wszystko dzieci potrzebujące ciepła, samotne, skrzywdzone i upośledzone przez los. Nie powinny żądać dla siebie przywilejów — to prawda — ale nie mogą ich nie posiadać. Mimo wszystko należy je otoczyć specjalnie czułą opieką i dbać o to, aby nie były nieszczęśliwe i opuszczone. Reszta zależy od taktu i mądrości wychowawców: we wzorowym Domu Dziecka nie ma miejsca na agresywną i egocentryczną postawę wychowanka.

Sprawa zapomnienia przez dzieci przeżytego koszmaru nie należy do spraw łatwych i dających się rozwiązać mechanicznie. Wiele zdziała tu czas i przyjazna, życzliwa atmosfera wychowawcza. Dzieci nie powinny mieć zresztą wiele czasu na rozmowy i zabawy wojenne. Rzeczą wychowawcy jest zainteresować je i zaabsorbować czym innym, podsunąć nowe, pasjonujące zabawy i zajęcia. O ile rozmawia on z dziećmi o wojnie — to po to, aby uświadomić im dlaczego cierpiały, jakie błędy i założenia ideowe stały się jej przyczyną i co świat stara się zrobić obecnie, aby uniknąć na przyszłość bratobójczych walk. Rozmowy takie nie mogą być jednak częste. Trzeba, aby dzieci, które nareszcie mają czas być znów tylko dziećmi, oddychały bez przeszkód zdrową i ożywczą atmosferą wychowawczą. Dopiero wówczas praca nad nimi stanie się normalną, pozytywną i owocną.

Halina Auderska.

Inż. Mieczysław Ożga, zam. Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Hermana Libermana 5, poszukuje synka Andrzeja Ożgi, ur. 14. 8. 1933 r. w Warszawie. Imiona rodziców: Mieczysław i Stanisława. Ostatnie miejsce zamieszkania dziecka: Warszawa, ul. Muranowska 2.

Tadeusz Hytkowski, ur. 1.V.1937 w Kropiwniku, w 1944 r. zabrany przez ks. Fr. Pochwałę z pow. Kałusz i wywieziony do Krzemionek p. Krakowem. Chłopca poszukuje matka Aniela Hytkowska, zam. w Międzypolu, poczta Ziębice, Dolny Śląsk.

Maria Matylda Makowska, ur. 7.II.1937 r., wywieziona z Berlina podobno do Oświęcimia. Ostatnie adresy: Berlin W 15, Th. Schierlinger, Sächsischestr. 73, oraz Nowak, Berlin SO, Taborstr. 20. Dziecka poszukuje ciotka Eugenia Wanda Makowska, Warszawa, ul. Lwowska 3 m. 1.

SPIS TREŚCI

Redakcja — Irena Chmieleńska i dr Irena Skowronkówna. Sekretarz redakcji — Jadwiga Ligocka. Komitet Redakcyjny — Zofia Niemcowa, Krystyna Popiel, dr Maria Uklejska.

Adres Redakcji: Ministerstwo Oświaty, Warszawa, Al. I Armii 25, pok. 259.
Adres Administracji: PZWS, Warszawa, Kredytowa 9

Drukarnia Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych w Łodzi
D. 012770—23/47